1

ul. Jagielski

Pułk Czwarty (1831)

Poznań 1890

PUŁK CZWARTY.

(1831.)

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

NAPISAŁ

Wł. Jagielski.

Kazimierz Osten-Sacken

Nr. 284

POZNAŃ.
NAKŁADEM I DRUKIEM FR. CHOCIESZYŃSKIEGO
1890.

105377

Minęły Polakom czasy napoleońskie, pełne szczęku broni i błogich nadziei. Wielki Napoleon upadł, a wielu złorzeczyło mu, że zawiódł ich oczekiwania; ci którzy ufność w carze moskiewskim pokładali, zawiedli się także, gdyż widzieli odmianę, odkąd ów przestał obawiać się Napoleona. — Kongres wiedeński 1815 przyłożył pieczęć na rozbiór Polski — a chcąc niby to zaspokoić sumienie Europy, dał Polakom pod berłem moskiewskiem szmat ziemi na urągowisko dawnej chwale i wielkości Królestwem Polskiem nazwany i stworzył „wolne miasto“ Kraków z maleńkim obwodem.

Zaczęto pracować nad rozwojem ducha narodowego.

Ludzie dobrej woli zaczęli naród kształcić i oświecać, by wiedział o swej przeszłości i z niej zaczerpnął siły na przyszłość, by jednoczył się i stanął jednością silny.

Widząc, że w poniżeniu wieśniaka leżała ciężka rana Polski, zaczął się niejeden uczciwy dziedzic krzątać około polepszenia ich bytu, znie-

sienia pańszczyzny. Niejeden na Litwie szlachcic, niemogąc wieśniaka innym sposobem wznieść, przybierał go do swego herbu, ale rząd moskiewski niepozwalał na to, chcąc by niezgoda dłużej Polaków osłabiała, i śpiegi jego wciskały się między dziedzica i lud, między brata a brata, rozszerzając postrach przed Sybirem lub wygnaniem w głąb Rosyi.

Oczy ciemiężonych Polaków zwróciły się na Królestwo Kongresowe, gdzie rządził brat cara, Wielki Książę Konstanty jako namiestnik. I tam był ucisk; każde słówko nieostrożne prowadzić mogło do kazamat fortecznych; konstytucya z 1815 roku była na każdym kroku najhaniebniej gwałconą. Ale było tam trochę wojska polskiego, urzędnicy Polacy, polskie szkoły.

Ostatnią myśl konającego Dąbrowskiego, którego imię całe pokolenia polskie z dumą wspominają w pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła“, pochwyciła garść dzielnych żołnierzy, posłów, akademików, i pod okiem prawie tyrana rozszerzał się zapał wolności. Uwięzienie przywódzców, majora Łukasińskiego, męczennika przykutego do działa w kazamatach Zamościa, pułkownika Krzyżanowskiego i innych rozwoju sprawy nie mogło powstrzymać.

Żołnierzy liczono większość w szeregach patryotów. Pułk czwarty liniowej piechoty, ulubiony przez Konstantego dla dzielności i obrotności, cały prawie należał do ruchu; tylko jenerałowie i pułkownicy, lękając się Konstantego, nie mieli

w całej sprawie żadnego udziału. Sprzysiężeni nie postarali się o dostateczną liczbę przywódców z pomiędzy własnych szeregów. Niestety nawet u nich panowała niezgoda; jedni chcieli Polskę oswobodzić jak długa i szeroka, drudzy, ostrożni, chcieli tylko te prawa odzyskać, które na kongresie były zaręczone, zostawiając braci z za Buga i Niemna na łup Rosyi.

I.
29 listopad 1830 roku.

Wieczorny zmrok otulał już Warszawę w poniedziałek dnia 29 listopada 1830 roku, gdy z koszar czwartego pułku liniowej piechoty polskiej już błyszczały światła. W małej izdebce na piętrze koszar pierwszego batalionu przechadzał się krokiem wielkim żołnierz siwiejący już, lecz krzepki i rosły. Twarz ogorzała i znaczona blizną przez lewy policzek wskazywała, że niejedne przebył boje; rysy poważne choć nie surowe i wąs krótki szpakowaty budziły poszanowanie. Galony munduru granatowego wskazywały, że żołnierz ten zajmuje stopień sierżanta starszego (feldwebla) drugiej fizylerskiej kompanii pierwszego batalionu czwartego pułku liniowej piechoty polskiej.

Był to Antoni Wolski, szlachcic zaściankowy z Mazowsza, który za młodu był w legionach, był z Napoleonem we Włoszech, w Niemczech, Hiszpanii, zkąd miał na pamiątkę krzyż i bliznę, i w Moskwie 1812. Z garścią Polaków nie od-

stępując Napoleona, wrócił dopiero po dwóch latach do kraju, prowadząc zwłoki ukochanego wodza, księcia Poniatowskiego, o którym lud śpiewa: „że tęgo wroga kropił, to tylko nieszczęście że nam się utopił".

Nie miał już stary wojak poco do domu wracać; rodzice mu dawno umarli, kawałek szczupły gruntu zabrał rząd za wstąpienie do szeregów polskich, krewnych też nie było, więc został w szeregach jako starszy sierżant.

Lubo brakło mu nauki, rozsądek jego, łagodność połączona jednocześnie z surowem przestrzeganiem praw wojskowych, doświadczenie nabyte w zwiedzaniu z orężem całej Europy, jednały mu ludzi wszystkich, którzy się z nim stykali; żołnierze szliby za starym sierżantem i w piekło, a oficerowie cenili go niemniej.

Teraz chodził po pokoju dopalając lulki krótkiej glinianej, spoglądając co chwila oknem na ciemne niebo. Przy czerwonem świetle łojówki, chwiejącej się od przewiewu, ruszały się cienie na podłodze — a rysy sierżanta oblekały się wyrazem stanowczości. Zapiął wszystkie guziki munduru i rzucił okiem na płaszcz szary leżący na stołku.

— Dziś się ma rostrzygnąć — mówił do siebie — z naszej kompanii wyruszą wszyscy na Moskala — tak jak nasz cały pułk czwarty; nie pójdzie chyba pułkownik i kilku starszych oficerów. Będzie ich trzeba uskromnić!

Wtem drzwi się otwarły i wszedł kapral stawając frontem.

— Panie sierżancie, czterech szeregowców gotowych wedle rozkazu!

— Dobrze, ruszaj zaraz do porucznika Przeradzkiego po naboje.

Kapral wyszedł salutując, a Wolski wytrząsnął lulkę, zakurzył drugą a wypaliwszy ją wziął płaszcz na siebie i wyszedł z izdebki na korytarz, prosto do biura batalionowego, gdzie już siedziało kilku oficerów w mundurach z bronią przy boku.

— Panie kapitanie — odezwał się Wolski do najstarszego z nich, męża wzrostu średniego, silnie zbudowanego, o żółtym długim wąsie — po naboje ruszyło czterech z kapralem. Ludzie gotowi.

— Już blisko siódma — odparł kapitan Roślakowski — powinienby Tylski dawno dać znak! Ale dziś wilgotno, nie chce się palić.

— Kapitanie — oto buchnął właśnie płomień — zawołał młody porucznik Kosicki — teraz czas!

Wszyscy zerwali się na nogi.

— Dalej bracia — zwołać żołnierzy na dziedziniec pod broń — krzyknął kapitan, teraz pokaże się kto Polak!

Szybko zapełniły się korytarze żołnierzem, wnet cały tłum wylał się na dziedziniec i stanął pod bronią w trzy szeregi plutonami.

Kapitan Roślakowski wystąpił przed front. Zmrok panował na dziedzińcu licho oświetlonym; ale górą skrzyły się bagnety karabinów, niżej błyszczały oczy żołnierzy, a cień dodawał srogości męzkim postaciom, tu i owdzie nacechowanym z dawniejszych jeszcze czasów bronią moskiewską, niemiecką, hiszpańską. Karnie stały szeregi, serca waliły żołnierzom jak młotem. Kapitan rzucił zadowolonem okiem po nich, spojrzał na narożnik koszar, zkąd się wynurzała grupa żołnierzy niosących pudła z nabojami.

— Żołnierze — zawołał głosem silnym — kto Polak niech idzie za mną; dziś będziem wolni, albo na zawsze Moskalami! W tej chwili już bracia nasi uderzyli na pałac Konstantego.

— Wszyscyśmy z czwartego pułku Polacy — niech żyje Polska — zagrzmiał okrzyk z piersi żołnierzy — dalej na wroga.

W tej chwili żołnierze przystąpili z amunicyą, i duchem rozebrano naboje i spiesznie nabijając karabiny.

— Cóż to za bunt, kto tu ma prawo zgromadzać żołnierzy — ozwał się nagle groźnym tonem pułkownik, który przechodząc koło koszar usłyszał okrzyk powstania, — zaraz mi zamknąć bramę i nazad do koszar!

— Panie pułkowniku — zakrzyknął Wolski — idziemy na wroga, kraj oswobodzić — ty nas prowadź!

— Cicho buntowniki — ale nie skończył,

gdy kilkudziesięciu żołnierzy zerwało się z bagnetami.

— Iść na wroga to bunt! — dalej poślijmy go za Konstantym! i pułkownik zaledwie zdołał się ocalić ucieczką.

— Teraz wiara do arsenału — rozkazał Roślakowski.

Porządkiem wyruszono z koszar. Ciemno było, ruchu po ulicach żadnego, cisza panowała parna, podobna do ciszy przed burzą, a bagnety połyskiwały jak pierwsze błyskawice na tle ciemnego nieba. Nagle usłyszano miarowy krok piechoty i łoskot dział po bruku.

— Panie kapitanie — rzekł cicho Wolski — to Moskale — widać nasi spłoszyli ich już; zdaje mi się, że to piesza gwardya, ot — widać pułkownika — wyjeżdża do nas.

— Stój, kto idzie — zabrzmiał głos.

— Pułk czwarty — odparł Roślakowski.

— To nasi — krzyknął pułkownik obrócony do swoich, mniemając, że to pułk czwarty, którego dzielność chwalił sam Konstanty, za przykładem jenerałów obałamucony pochlebstwem W. księcia bagnety zwróci przeciw własnym braciom powstającym za Wiarę i Ojczyznę. Ale omylił się.

— Pierwszy pluton półobrotem w prawo ognia! Drugi z bagnetem na działa — zagrzmiała polska komenda.

Salwa gładka, jakoby orzech zgryzł, buchnęła na gwardyą moskiewską, siejąc w jej sze-

regach takiem przyjęciem śmierć i zamieszanie. Drugi zaś pluton z bagnetem najeżonym uderzył na działa i zdobył dwa, zanim wróg zdążył się rozwinąć lub uciec.

Zamięszanie wszczęło się straszne, dział moskiewskich reszta zawróciła w tył galopem, tratując własną piechotę, a dzielne czwartaki parli ich bagnetami.

— Teraz do arsenału — dać im tymczasem pokój! Pułk czwarty stanął wnet pod arsenałem. Zewsząd ściągało się wojsko polskie, batalion saperów, kilkanaście kompanii grenadyerskich i podchorążowie w liczbie stukilkudziesięciu. Osiem tysięcy Moskali stało już również pod bronią — Polaków było nie mniej — lecz rozproszeni po całem mieście dopiero się skupiali.

— Cóż, jak poszło? — zawołał Roślakowski do szefa podchorążych, podporucznika Wysockiego — macie go?

— Nie — umknął! Trzy pułki jazdy atakowały nas kolejno, nie daliśmy się, przebiliśmy się ogniem i bagnetem, choć krwawa była droga. Około łazienek i koszar Radziwiłłowskich pełno trupów, ludzi i koni, tam myśmy walczyli. Lud niewie, co się dzieje, i mało co się rusza, pewnie wmawiają w niego, że to nie powstanie tylko burda uliczna: Trębicki i Hauke zastrzelani — gwałtem się opierali, strzelali na podchorążych. Moskale ściągają się pod Belweder — tam jest nawet kilka naszych dział, gwardya piesza, konni strzelcy; jenerałowie obałamucili ich. Szere-

gowcy to dobre wiarusy, ale oglądają się na starszyznę.

— Posłaliście na Pragę po naboje?

— Tak, teraz należy lud poruszyć — więźniów od Karmelitów już odbito!

Zerwało się kilkunastu i ruszyli przez ulice z okrzykiem: Do broni bracia, do broni!

Ruch zaczynał się robić — kupki ludzi wylegały na ulice, łącząc się z wojskiem. W tem usłyszano muzykę i ujrzano Teatr Rozmaitości, błyszczący od świateł.

— Tam się bawią — a tu krew się leje — krzyknął porucznik Dobrowolski — dalej po nich!

Drzwi sali otworzyły się z trzaskiem, wszystkich oczy zwróciły się ku nim, i ujrzano oficera w mundurze zakurzonym, poszarpanym, z twarzą czarną od dymu prochowego, z szablą zakrwawioną w ręku. Muzyka umilkła — a piorunowy głos uderzył uszy słuchaczów:

— Polacy do broni, Moskale zabijają naszych!

Polacy zerwali się z miejsc z okrzykiem: do broni! i rzucili się tłumnie ku wyjściu. Śpiegi służalce Konstantego przerażeni daremnie kryją trwogę malującą się na twarzy, daremnie chcą się mięszać z tłumem.

Dobrowolski przedziera się do miejsca, gdzie siedzi na odosobnieniu mąż postaci wielkiej i dumnej, rysów śmiałych ale twardych, o bujnej czuprynie i lekkim po bokach twarzy zaroście. To jenerał Chłopicki — naród go lubił, bo on

miał odwagę niesłuchać Konstantego i wystąpić ze służby, kiedy wszystko drżało przed księciem.

— Jenerale, wojsko polskie czeka na twe rozkazy, woła Dobrowolski podając mu szablę.

Chłopicki blednie — odsuwa szablę i szybko znika w tłumie. Ciężki na samym początku zawód!

Tymczasem na ulicach roiło się od ludu. Od Starego Miasta, od Karmelitów, gdzie jęczeli we więzieniu polscy patryoci, dążyły masy ku arsenałowi. Na czele takiej grupy zbliżył się do Wolskiego mieszczaninu w sile wieku. Wzrost mierny, szczupłość budowy wskazywały, że w mieście nad pracą pędził życie, ale mimo to w całej postaci czuć było życie, i śmiałość biła od czarnych oczu, a krótki i szorstko najeżony wąs nadawał twarzy jego widok żołnierski.

— Panie sierżancie — zawołał — dajcie nam broni — odbiliśmy więźniów naszych drągami — ale myślimy, że w arsenale i dla nas porządna broń się znajdzie!

— Dobrze wiara — odparł Wolski — tu macie broń — i rozdzielał karabiny i naboje, przynoszone z arsenału między tłoczących się — dobry zrobiliście początek; dalej chódźcie, starczy broni dla was wszystkich.

— Niech żyje Polska, niech żyje wojsko liniowe, niech żyje pułk czwarty! grzmiały ciągłe okrzyki tłumu napełniające ulice, a odbijając się o długie rzędy kamienic budziły trwogę w pułkach Konstantego.

Ludu gromadziło się coraz więcej, noc była na niebie, ale w sercach polskich był dzień jasny — bo świtała jutrzenka wolności. A zamięszaniu nie towarzyszyło, jak się zwykle przy rozruchach zdarza, rozbijanie sklepów i rabunek — przeciwnie lud był spokojny i zachował porządek, bo słowa Ojczyzna i Wolność rozniecily w nim wszystkie uczucia szlachetne, przypominały, co mieli najdroższego, a wobec takiego skarbu na resztę nie warto było się łakomić. Lecz powstanie nie zwyciężyło jeszcze zupełnie; wojsko i lud od razu pojęli, co należy czynić. Tylko starsi nie wiedzieli, co począć.

Kilku jenerałów podjechało pod arsenał gdzie stał pułk czwarty i mnogo ludu.

— Poszaleli chyba — ozwał się jeden — żołnierze się buntują i lud bałamucą!

— Należałoby ich kartaczami wymieść co do nog!

— Ba kto tu na nich pójdzie — Moskale dostali w skórę, Konstanty niechce probować ataku — spróbujmy ich doprowadzić do rozsądku.

Jeden z jenerałów zwrócił sie do ludu.

— Rozejdźcie się ludzie — zbiegowisk niewolno robić.

— Ba! zbiegowiska! — my niechcemy służyć Moskalom, — krzyknął ów przewódzca ludu, — sami sobie służcie!

— A wy żołnierze, jak mogliście tak daleko zapomnieć o karności wojskowej i podnieść

bunt! W tej chwili odebrać broń zgrai i rozejść się do kwater!

— Panie jenerale — zawołał Wolski z oburzeniem — powstaliśmy, by ująć się za Ojczyznę. Żołnierza pierwszy obowiązek jest kraju bronić, stań jenerale na czele naszem — i prowadź nas na Moskala — a słuchać cię będziem święcie!

— Przenigdy — ostatni raz powtarzam, zaraz wrócić do porządku — kto nie słucha, temu jutro kula w łeb!

— Cóż go słuchacie — krzyknął Wysocki, mężny oficer, przywódzca podchorążych — ognia!

I kilkanaście kul przeszyło piersi jenerałów, odwodzących lud od walki.

— Dobrze im — każdemu tak będzie kto przeszkadza — odezwał się mieszczanin, nabijając dymiący jeszcze karabin. — Jenerałowie psują naszą robotę — damy sobie sami radę.

— Jeszcze są dobrzy jenerałowie — zawołał Wolski. — Patrzcie, to jenerał Sierawski z pułkownikiem Kickim, ci wnet zaprowadzą porządek!

Śród radosnych okrzyków przeciskał się siwy Sierawski na rosłym bułanym koniu przez lud, obok niego witano wesoło pułkownika ułanów Kickiego — oficera najulubieńszego u ludu i wojska. Ci szybko uporządkowali lud i wojsko.

— Jakże wiarusy — macie jeszcze naboje? zapytał Kicki czwartaków.

— O są jeszcze panie pułkowniku — byle

się Moskale do nich znaleźli — a nie, to bagnetem.

Zdala słyszano wystrzały na Saskim placu.

— Tam się biją — zawołał Sierawski — tam moje miejsce! i poskoczył za hukiem.

Wkrótce ujrzał polskich saperów ucierających się z konnymi strzelcami, którzy dawali ognia między lud. Ale o zgrozo, nie Moskale walczyli tu z Polakami, tylko Polacy obłąkani przez Konstantego kłamliwemi wieściami, nie wahali się broczyć broni krwią braci powstających w obronie wolności.

Ujrzawszy Sierawskiego upuścili konni strzelcy broń.

— Bodaj to nie burda uliczna, przecie i jenerała między nimi widać, mruknął jeden.

— Bóg wie — my musim słuchać komendanta.

— Ba — przelewać krew braci jak Kainy i to poto, żeby Moskale nam przewodzili!

Sierawski zbliżył się i chciał przemówić.

— Cicho — zawołał pułkownik — zaraz go aresztować! Sierawskiego uprowadzono, a konni strzelcy zaczęli się cofać niebawem pod parciem powstańców — ku Konstantemu.

Miasto zaczęło się uciszać. Powstanie miało w ręku większą część Warszawy i żołnierze biwakowali pod arsenałem, a pułki Konstantego koło pałacu jego, Belwederu. Gdy trzecia rano biła, mała już garść ludu była przy żołnierzach, reszta udała się na spoczynek.

— Panie sierżancie — ozwał się do Wolskiego ów mieszczanin, który broni żądał, i ludzi poruszał — chcę wstąpić do czwartego pułku, bo widzę, żeście dzielni, pierwsi do powstania i nie dacie się Moskwie!

— Chętnie przyjmiemy cię — ale czy też zdołasz z nami porówno ponosić trudy — rzekł sierżant mierząc od stóp do głów szczupłą postać ochotnika. — Czem się trudnisz?

— Jestem krawcem, a choć się nie wydaję tęgim, to przecie potrafię się tak bić jak drudzy; w domu nie zostanę, kiedy za kraj idzie — a karabinem wnet się nauczę!

— Widzieliśmy cię dziś przy robocie — widzę że masz dobrą ochotę, reszty wnet się nauczysz — więc dobrze. A jak nazwisko?

— Mikołajewski.

— Więc jużeś nasz. Panie kapitanie — rzekł do Roslakowskiego — oto mamy pierwszego ochotnika do naszej kompanii; choć z pozoru lichy, ale tęgiego ma ducha.

— Dobrze — odparł kapitan — przecie za Napoleona to nieraz żołnierz był słabszy i licho żywiony a jak się bił! Tyś pierwszy z ludu, co w nasze szeregi wstępujesz — mam nadzieję, że wnet nie pomieścimy ochotników!

— Prosimy też panie kapitanie nas przyjąć — odezwało się kilku z boku.

— Cieszy mnie, że ochoczo wstępujecie do pułku, wszyscy się przydacie. Dziś byliśmy razem naprzeciw wrogowi; a w ogniu szybko się

wyrabia żołnierz. Spodziewam się że wszyscy dorównacie starym wiarusom z czwartego pułku!

Ochotnicy zmięszali się ze starym żołnierzem, a że było zimno, więc jeżeli kto miał manierkę, to krążyła wkoło dla rozgrzewki. Do świtu było dość spokojnie, ale nikt z żołnierzy nie drzemał, bo czujność była konieczną, a powtóre uniesienie nad wypadkami ostatniemi płoszyło sen z ich powiek.

Stary sierżant rozmawiał z ochotnikami i opowiadał im o starciu z Moskalami.

— Daliśmy im dobrze — i wszystko szłoby jeszcze lepiej, gdyby nie było rozproszenia, gdyby jenerałowie i pułkownicy porzucili Konstantego a stanęli przy nas jak stary Sierawski. — Ale coś go nie widać — pewnie gdzie radzi. — Teraz powiedźcie, jak odbiliście naszych więźniów u Karmelitów?

— Ja mieszkam blizko — odparł Mikołajewski — więc ujrzałem wieczorem, jak oficer jakiś przez ulicę jechał i wołał na ludzi, żeby odbili więzienie. Już miarkowałem przed tem, że coś ma być — więc zaraz wołałem na drugich, a że byli dobre wiarusy i mnie ufają, to ruszyło nas dosyć z drągami, siekierami, co kto miał pod ręką, i dalej pod klasztór. Dużo już nas było, nawet kilka kobiet wybiegło na ulicę, i zaczęliśmy się do bramy dobijać; ale wyłamywanie szło trudno, zaraz pokazało się ze trzydziestu Moskali, co więźniów strzegli, i zaczną do nas dawać ognia. Zabili już jednę kobietę;

nam kilku ranili, a tu bramy wyłamać ani rusz. Dopiero przypomniało mi się, com od ojca słyszał, że można małą furtką z boku się dostać w głąb. Wnet znaleźlim ją i dostalim się do środka — tu Moskale w strach, uskromn liśmy ich wnet i zabralim broń. Dopieroż to nasi biedacy się cieszyli! Leżeli oni na zgniłej słomie — oczekiwali, rychło ich Moskale bagnetami rozszarpią — a tu dostali się na wolność. Potem ruszylim do was.

— Dziś spadły kajdany tych męczenników, jutro całej Warszawy skruszymy kajdany — zawołał Wolski.

Ranek 30 listopada ujrzał Warszawę pod bronią, lud zapełniający tłumnie ulice, wolności zapsłem uniesiony przypominał sobie Kościuszkowskie czasy. Konni strzelcy i grenadyerzy polscy zbałamuceni stali przy M skalach i nacierali na lud i wojsko narodowe, które, lubo znużone ale rzeźwe nadzieją swobody, coraz dalej ich odpierało.

O trzeciej godzinie po południu tłumy wzniosły okrzyk radosny, stary jenerał Pac przyjął w zastępstwie Chłopickiego dowództwo wojska, siadł na koń; ujrzano i srebrnowłosego Niemcewicza, adjutanta Kościuszki i towarzysza jego niewoli, i okrzyk „niech żyje Polska“ wstrząsnął tłumami. A choć Konstanty jeszcze nie był odstąpił od miasta, zwycięztwo powstania było ustalone; trzy dni później jenerał Chłopicki stanął na czele, Warszawa ujrzała piechotę Szembeka nadciąga-

ącą, by złączyć się z braćmi, konnych strzelców grenadyerów smutnych, że w zaślepieniu dali się użyć przeciw braciom, — a Konstanty złamany na duchu uchodził na Litwę, niestety uprowadzając ze sobą 8000 żołnierza, które Polacy mogli i powinni byli rozbroić.

Lecz wszystkie te smutne okoliczności nie występowały jeszcze tak wybitnie na jaw. Warszawa własną siłą oswobodzona, nieczując jeszcze skutków, wywoływanych przez tych, którzy powstaniu nie wróżyli dobrego końca, zabrzmiała radością najszczytniejszą, a echa rozniosły ją po wszystkich zakątkach ziemi polskiej — nad Wartę, Niemen, Bug i Dniepr.

II.

Do boju za wolność.

Chłód zimowy zawitał do Polski już z grudniem, słońce świeciło jeszcze pięknie choć nie grzało, lecz razem z chłodem jakiś dziwny ruch i ożywienie zapanowało i za Prosną i za Wartą. Mówiono wszędzie tylko o warszawskiem powstaniu przeciw Moskalom, a radość nietajona wobec władz opanowała serca zamieszkujących Wielkopolskie błonia.

Już dawniej gotowano się na pomoc braciom warszawskim, ale jeszcze mniej niż tam brano udział w przygotowaniach, brakło bowiem zgody i jedności; lecz na pierwsze hasło prawi Polacy stanęli w gotowości ruszenia pod chorągwie ojczyste.

Około Kcyni, na hubie Koraszewku panował w pierwszą niedzielę grudniową ruch ożywiony po nieszporach. I nic dziwnego! Gospodarz tam zamieszkały, stary i poważny, miał kilku parobków wesołych i sam rad był patrzeć na ich zabawę po robocie, więc z pobliskich wsi nieraz zajrzał niejeden, i ochoczo się garnął do niego, by czas spędzać mile. Młody dziedzic przyległego Retkowa, Ostrowski, był dla ludzi dobry, więc raźno mogli się parobcy zabawiać.

W stajni gospodarskiej było pełno wieśniaków rosłych, junackich postaci, odzianych w czerwone kaftany i granatowe na haftki spinane a gęsto marszczone żupaniki.

Siedzieli oni po skrzyniach, łóżkach, gdzie się kto zmieścił, i gawędzili sobie, a od czasu do czasu odzywała się raźna melodya skrzypek

— I cóż ci mówił dziedzic, pytano parobczaka dwudziestokilkoletniego, postawy krępej i silnej ale pięknej, oczu bystrych, z twarzą zdradzającą rozsądek i przebiegłość, o jasnym wąsiku — powiadaj Kuba!

— Owszem — odparł Kuba Witczak — powiem wam, bo to i was tyczy. Bracia nasi we Warszawie zrobili powstanie i wygnali Moskali precz za granicę!

— Dobrze się spisali — zawołało kilku — poco Moskal na naszej ziemi!

— Ale to nie koniec — prawił dalej Witczak — to dopiero początek, przecie Moskale prócz Królestwa dużo jeszcze ziemi polskiej zaj-

Kazimierz Osten-Sacke
Nr.

mują — trzeba wszędzie Polaków wyswobodzić — więc będzie wojna, i garną się ludzie do broni, to polskiego wojska ani trzydziestu tysięcy niema, a moskiewskiego jest dwadzieścia razy tyle. A kiedy tam się biją za Wiarę i Ojczyznę, cóż my zrobimy? Czy będziem siedzieli, jak baby za piecem?

— A jużci, że nie — odparło kilku — wstyd dobremu chłopu siedzieć w domu, kiedy bracia leją krew.

Lecz jeden parobek, siedzący na boku, widocznie nie podzielał zdania ogółu, bo mruknął.

— Guza wam się chce, poco tluc się za sprawę panów, ja nie głupi.

Dosłyszał Witczak i zaraz krzyknął:

— Człowiecze, gdzie u ciebie rozum, że takie rzeczy gadasz! Ja tak samo na kluskach i polewce wychowany, jak i ty, każdemu wiarusowi dobrze życzę, mnie możecie wierzyć. Jakto sprawa polska ma być sprawą samych panów! Pomyśl jeno, czy to tym panom pod Moskalem tak źle, jak nam? We Warszawie przecie zrobili tylko dla tego powstanie, żeby ludziom wszystkim było dobrze, a do niego ciągli tylko tacy panowie, co ludzi nie marnują, ale ich szanować umieją. A takie gałgany, co nad człowiekiem litości nie mieli, tych zawsze ciągło do Moskala — tacy nigdy nie szli walczyć za kraj. Powiedz jeno, czy zapomniałeś, jak stary Jędrzej, co pod Kościuszką służył, zawsze mówił:

Kiedy było chłopu lepiej, pod Kościuszką, czy teraz?

A powiedz no tylko, czemu wtedy ci wszyscy co byli oświeceni, a niestety było ich wtedy bardzo mało, tak się bili za kraj, czy chłopy, czy pany, czy mieszczanie? Biliby się oni, gdyby im było źle pod Kościuszką? Widziałeś ty w innem wojsku chłopa nie uczonego po wysokich szkołach oficerem? to tylko u nas zrobił Kościuszko Głowackiego Bartosza porucznikiem!

— Dobrze ci mówić, ale kto wie, jakby to było, gdyby było wszystko nasze a panowie potem dostali się do rządu!

— Do rządu mógłby tylko taki się dostać coby się zasłużył, bo gałganówby się zaraz pokarało; gdyby jednakowo chłop i pan, mieszczanin i ksiądz przyłożył ręki, jednakowa też byłaby i dla wszystkich porówno nagroda; a wreszcie tchórzem byłbyś wielkim, gdybyś się panów bał. Wielu tu nas chłopów we wsi, a pan sam jeden! — choćby niechciał, musiałby być poczciwym — bo niktby nas niemógł ukrzywdzić.

— Prawdę mówisz, szczera prawda Kuba, daj ręki — ja teraz z wami razem!

— Widzisz — odparł uradowany Witczak, — ja zaraz wiedziałem, że ty tylko niewiesz, jak sprawa się ma. Takie szelmy, co ludzi marnowali i trzymali z Moskalem, to przeklinali Kościuszkę, mieli strach srogiego rachunku, któryby zdać musieli, jakby Polska była. Kto zaś za kraj bił się chętnie, to i o ludziach pamiętał,

jak tu nasz Ostrowski. Jeno to nieszczęście, że nie wiedzą ludzie wszędzie, co to jest Polska; gdyby się dowiedzieli, wszystkoby rzucili, by ją tylko mieć; przecie chłopi i panowie, którzy za Kościuszki wolności posmakowali, szli się bić za nią nawet do Włoch!

— Prawdę mówisz — jeno z umysłu trzymają nas w niewiadomości, jak to było za Kościuszki, albo nam różnych rzeczy nałgają; na to jedyną radą, powiadać ludziom prawdę, jak się działo, pouczać ich; ale są też inni, co jeno czekają, aż Pan Bóg cudem poskromi Moskala, a sami nie chcieliby ręki przyłożyć!

— Aj z tymi to trudna sprawa, do rozumu im nie łatwo przemówić, bo jakoby mieli obłęd. Przecież od czego człowiekowi Bóg dał ręce, jeżeliby Pan Bóg miał za niego wszystko robić. Powiedzieć takiemu mądrali, żeby kosą ani pługiem nie robił jeno czekał, rychło Pan Bóg za niego zrobi — to nawet jemu się dziwnem i niesłusznem zdaje; a cóż dopiero zakładać ręce w takiej sprawie! Tacy to leniwcy, samiby chcieli nic nie robić, ale jeść kluski, na które kto inny zapracuje, zrobi i poda!

— Bracia — między nami wszystko wiarusy, wszyscyśmy dobrzy — huknął nowo przekonany — my teraz wojacy. I odezwały się skrzypki, a z licznych piersi zabrzmiało się chórem:

„Do Warszawy miły bracie,
Tam robota czeka na Cię!
Ztamtąd Moskal wypędzony,
Niech nie wraca w nasze strony.

Więc nie szczędzić rąk i bitwy,
Gnać Moskala za kres Litwy,
Hej za Dniepr i Zaporoże,
A Ty wspomóż Mocny Boże!

W tem uchyliły się wrota stodoły i ukazała się postać długa, nieco zgarbiona, ale krzepka jeszcze mimo widocznych siedmiu krzyżyków, o twarzy czerwonej, wygolonej, odziana czarną sukmaną.

— Gota libe Gota — huknął gromko przybyły — cóż robicie, rączki żabiaki!

— A Macioszek, witajcie doktorze — wołano zewsząd.

Był to Macioszek, człowiek choć nie uczony, ale bywały i mądry, bo konie i wszelkie bydło, a w potrzebie i człowieka leczył, znający się na wielu rzeczach, obdarzony jedną tylko wadą, że wielki miał pociąg do kieliszka. Za młodu wzięty w rekruty służył w pruskiem wojsku, czego pamiątką pozostały niemieckie słowa, które od czasu do czasu wtrącał do mowy. Potem zbiegł do Francuzów i tłukł się po Europie całej; wiele rzeczy widział i słyszał, każdemu o przygodach swych chętnie lubił opowiadać; zwłaszcza, jak w odwrocie z pod Moskwy dwa dni dowodził kompanią, której oficerów wybito, póki mu dowództwa nie odebrano.

— I cóż żabiaki — to do wojska warszawskiego chcecie iść?

— Ano widzicie — pójdźcie i wy z nami, konie może ie we wojsku kurować.

— O Boże daj co najlepiej, byśmy rychło wyruszyli — na koniu jeszcze usiedzę — ruszę z wami. Ale niema kto olejku na wysmarowanie gardła, bo mi zasycha.

— Nie ma — a gdzież macie wuju trzy złote od wczoraj?

— Bóg dał, a djabli wzięli!

— No w obozie to będziecie sobie mogli od czasu do czasu gardło smarować i tam utrzymają was w porządku. A teraz — odezwał się Witczak — pamiętajcie, że jutro rano do dworu wyruszym. Ostrowski pan sam idzie walczyć za Wiarę i Ojczyznę — razem pójdziemy do obozu

Na drugi dzień przed dworem było pełno wiarusów, dziedzic i wieśniacy razem gotowali się ruszyć na powstanie, a duch Kościuszki błogosławił z góry temu zjednoczeniu się w imię wolności. I ruszyli razem do granicy Królestwa idąc cicho i ostrożnie, a słońce zimowe grudniowe patrzało na szczęście i radość, gości dawno niewidzianych u polskiego narodu.

* * *

W Warszawie kipiało życie w najlepsze, lud zapałem swobody poruszony oddawał się radości, nieopatrznie ufając przewodnikom małodusznym; wojsko spodziewało się lada chwila wyruszyć, a ciągle nadchodzili nowi ochotnicy.

Roiło się miasto od mundurów różnobarwnych. Tu piechoty liniowej mundury odbijały

od granatowych kurt ułańskich, tam zieleń konnych strzelców mięszała się z białemi i granatowemi lub czerwonemi sukmanami i kaftanami kosynierów krakowskich, pałuckich, kujawskich, a nadwszystkiem szumiał sztandar biało czerwony i biały Orzeł polski. Naród ufny w jenerała Chłopickiego, starego żołnierza napoleońskiego, nie posądzał, jak zwykle w powstaniach, nikogo o zdradę — ale witał każdego jako brata i czerpał pełną piersią rozkosze wolności. Po ulicach brzmiały pieśni i piosenki, tworzone nieraz na ulicy, a lud je powtarzał i roznosił po mieście.

Niedaleko pałacu, gdzie Chłopicki przebywał otaczało właśnie kilkudziesięciu cywilnych i żołnierzy jakiegoś barczystego i wasatego poetę o sążnistym wzroście, który o Konstantego ucieczce śpiewał:

Kostusiu kochany, zgryzotą nękany
Daj folgę kłopotom. romtotom romtotom
Na Saskim dziedzińcu bohater był w wieńcu
Lecz przyszedł listopad i wieniec mu opadł.

Słuchano go z ożywionem zajęciem. Wnet poeta podążył dalej — a z tłumu ustąpiło na bok dwóch żołnierzy w mundurach czwartego pułku liniowej piechoty. Trudno byłoby poznać w mundurach Mikołajewskiego i Witczaka, obaj zresztą minę mieli w nich tak dziarską, jakby mundur od dziesięciu lat zrósł się z ich grzbietem.

— Widzę, że i w Księstwie się ruszacie. A dużo was przybyło?

— Kilkudziesięciu z naszej okolicy, z dziedzicem razem. Byłoby nas daleko więcej, gdyby poszli wszyscy co mogą i powinni, ale bardzo wielu jeszcze nie wie, za co się mają bić, a zdarzają się nawet tacy, co drugim ducha psują. Ot ze wsi sąsiedniej wybierało się też dużo, żeby z nami ruszyć; ale był tam stary gospodarz, człowiek szanowany bo ma pieniądze i jest uczynny, ale niedołęga wielki; ten zaczął ludzi odmawiać i gadał, że jak Polska ma być, to ją sam Pan Bóg bez naszej pomocy zrobi, jakbyśmy od tego nie mieli rąk. A że ludzi przedtem nikt tam nie pouczał, więc święcie mu wierzyli i zostali w domu, oj głupi, ale tamtemu jeszcze się przypomni, co to znaczy ludzi odmawiać!

— Prawda, zawsze mamy takich co naród chcą uwodzić i oślepić, mieliśmy to we Warszawie. Ale patrz kolego, oto jenerał Chłopicki konno wyjeżdża, widzisz?

— Niech żyje jenerał Chłopicki — wołały tłumy — a Chłopicki na karym rumaku w mundurze jeneralskim, okryty orderami, przejeżdżał z twarzą dumną i zimną — nie dzieląc wcale zapału do walki, o który go tłumy posądzały i dla którego właśnie tak go wielbiono.

— Cóż to za wiarusy, kosynierzy? — zapytał Witczak stojący obok ułana, który rozniecał właśnie krótką lulkę.

— Tak, to kosynierzy z pod Warszawy, z dziedzicem na czele. No teraz tylko w pole ruszyć.

Szli kosynierzy w białych sukmanach czwórkami przez ulicę, było ich tysiąc, a przodem jechał na siwku dziedzic w czerwonej rogatce, z szablą w dłoni. Wesołe okrzyki witały przybyłych, a kosynierzy defilowali przed Chłopickim.

— Teraz napatrzyliśmy się dosyć — rzekł Mikołajewski, pójdźmy napić się miodu i wódki. O parę set kroków mamy właśnie takie miejsce — jest tam zawsze dużo żołnierzy i trochę cywilnych, ale dobrych wiarusów, i zabawim się ze znajomymi.

Ruszyli, cisnąc się przez tłumy ludu zalegające ulice, a po kilku minutach stanęli na miejscu. Z głębi buchnął ku nim mazur Chłopickiego, podówczas powszechnie śpiewany:

Nasz Chłopicki wojak dzielny, śmiały,
Powiedzie zuchów naszych do zwycięztw i chwały.
Huk armat, szczęk pałaszy
Moskali wnet odstraszy,
Hej bracia w imię Boże,
Bóg nam dopomoże.

Dalej bracia walczmy dzielnie, śmiało,
Nasz orzeł skończy walkę dla narodu z chwałą.
Tnie tęgo polska kosa,
Nią utrzem Moskwie nosa,
Hej dalej, hej za wiarę
W pień wytniem wrogów chmarę.

Dalej bracia żwawo; idźmy w Litwę
I na śmierć albo życie toczmy z carem bitwę!

Hej wichry, z drogi skała,
Niech zadrży ziemia cała,
Hej dalej w imię Boże,
Bóg nam dopomoże!

Wszędzie było pełno, najwięcej mundurów. Życie wesołe wrzało, ale rej wodzili czwartacy i ułani. Wnet zoczyli nasi znajomych.

— Pójdźcie — zawołał stary sierżant Wolski, siedzący z kilku podoficerami i kapralami czwartego pułku nad miodem — siadajcie z nami, gdzie indziej miejsca nie ma!

— Dziękujem panie sierżańcie — i usiedli.

— Mamy tu wiarusa z Księstwa — mówił Wolski do towarzyszy ukazując Witczaka — z tych stron to samych rosłych a tęgich dostajemy chłopów. Konował też przybył z nimi, dziad stary ale jary — zapisał się do czwartego pułku ułanów, patrzcie — on i tu się zjawił!

— Ba, panie sierżancie — on wszędzie, gdzie się zabawiają, sam za kołnierz wylać nie lubi — odparł Witczak. Aż tu Macioszek zbliżył się, w pełnym mundurze, szabla spuszczona tłucze się po ziemi, guziki od munduru aż się świecą, na sukni pyłku ani znaleźć.

— Gota libe Gota, ciebie tu oglądam żabiaku! szanuj Kaprala nie tacy jak ty stawali frontem przedemną, jak byłem kapitanem w odwrocie z Moskwy, jeno że dobrze nie umiałem parle franse a w tej kompanii same Francuziska, wnet się skończyło — Bóg dał a djabli

wzięli. Ale choć i tak, wąsa pokręcę, szablę na trzy łokcie rozpuszczę — to wyglądam jak jaki pułkownik, pytajcie jeno pana wachmistrza, jak szedł ze mną, za kim się dziewki oglądały, gdyśmy szli przez ulicę? Gdyby mi nieboszczki nie było żal i gdyby wojny nie było — to jeszcze bym gotów głupstwo zrobić i się ożenić!

— Patrzajcie — zawołał Mikołajewski — w starym piecu djabeł pali. Jeszcze będziem mieli wiele pociechy z naszego doktora!

— Ale — rzekł Wolski zwrócony do Witczaka — wiesz, że miasto na gwałt okopują, wczoraj nawet wszystko wyległo na wały, rzemieślniki, posłowie, akademicy, profesory, nawet kobiety pracują na gwałt. Pewnie otworem nie chcą miasta zostawiać podczas wojny!

— Panie sierżancie — wtrącił Mikołajewski — bodajby tak było — ale na wojnę nie wielką ma jenerał Chłopicki ochotę, bo już dawno kazaliby nam wyruszyć, a nie szłyby listy do cara. Czemu my teraz nie około Litwy?

— Jenerał wie, co robi — odparł Wolski — wojska dużo potrzebuje, więc regimentarze sposobią nowe pułki. Tylko mi dziwno, czemu oni nie chcą pomięszać starych pułków z nowymi — toćby rekruty prędko się poduczyły i na sile zyskalibyśmy; przecie pułki Napoleona, to zwykle połowę miały rekruta świeżego a dobrze się biły. Jeżeli zaś nowe pułki, w których ludzie nie wiedzą nawet, jak się karabin nabija,

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

osobno zostaną, to wielkiej pociechy z nich obiecywać sobie nie można.

— Panie sierżancie — rzekł Witczak — po drodze do Warszawy przypatrzyłem się trochę i przysłuchałem, jakie to jest gospodarstwo regimentarzy w nowych pułkach. Ludzi, co na oczy nie widzieli wojska, robili tam nieraz pułkownikami, a wysłużonych weteranów pomięszali — instrukcyi porządnej też nie ma — ja się na tem znam trochę, bom w pruskiem wojsku służył — posłuszeństwa brak, bo jakby żołnierz świeży mógł szanować starszego, co sam swych obowiązków nie zna i nie pilnuje. Smutne rzeczy wszystko — jedynie co mnie cieszyło, że ludzie się dosyć kupy trzymają. Widziałem tam dużo szlachty i chłopów i mieszczan, co się garną, oni sami tylko kupy się trzymają — bo regimentarze o to wcale się nie starają. — A mundurów, obuwia, koni, broni nie ma, niewiem, jak to może być, bo przecie ludzie składają na kraj, co mogą.

— Tak to jest — ozwał się wachmistrz od czwartego pułku ułanów, chłop rosły, wąsaty z oczyma, których blasku śron okrywający czuprynę nie przygasił, świecący krzyżami i medalami na piersiach a bliznami na twarzy — nam nie pozwolono zająć stajni w Skierniewicach po wojsku moskiewskiem, a jak jenerał nasz Dwernicki chciał nas uzbroić i umontować porządnie konie, to nie pozwolono mu ruszać szpilki, co po Moskalach została!

— Gorsza nadto — rzekł cywilny jakiś młodzieniec w skromnej granatowej czamarce — wiecie panowie, że nas kilkudziesięciu z Litwy tu przybyło, prosiliśmy jenerała Chłopickiego o pomoc dla nas na Litwie — oburzył się i powiedział, żeby siedzieć cicho, powstania nie robić, że tylko broni Królestwa, a dla Litwy i Wołynia ani skałki nie ma!

— Tak to mówi naczelnik polski — zawołał Mikołajewski z oburzeniem — toć Konstanty sam nic innegoby nie powiedział. Żeby nam Chłopicki tylko sprawy nie popsuł!

— Mój Boże — rzekł smutnie sierżant — po co jenerał wdaje się w listy. To nie jego rzecz — tylko bić się. Ale zaręczam, że jak raz przyjdzie do boju — to zupełnie będzie inaczej!

— Tak byleby nie było: nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje — przerwał wachmistrz milczenie — Kościuszkiby trzeba. Wtedy było daleko gorzej, nie było wcale jedności i zgody, a wiele wrogów na karku; dziś już trochę jedności mamy — ale niestety nie ma człowieka, któryby prowadził naród.

Gdyby to jeszcze Dąbrowski żył, mój wódz ukochany!

— Toś kolega z pod Dąbrowskiego — zawołał Wolski, służyłeś kiedy w piechocie, rysy mi są trochę znajome!

— Tak, dopiero później przeszedłem do

jazdy — tyś służył kiedyś kolego pod Sobolewskim w piechocie, co?

— Toś Słoma, porucznik, dawny Głowackiego towarzysz — zawołał Wolski — i uściskali się serdecznie dwaj starzy towarzysze broni.

— Czemuś teraz tylko wachmistrzem?

— Widzisz, w domu siedziałem dwadzieścia lat, posiwiałem już, nie chcę być porucznikiem, bom stary i douczać się niemam ochoty, więc wolałem iść za wachmistrza i dobrego ducha utrzymywać między szeregowcami.

— Ale zabijak z ciebie taki jak dawniej, — pamiętasz, zakład po Jenie o butelkę wina.

— Jakże to było — pytali obecni — otaczając z podziwem i uszanowaniem dziarską postać wachmistrza.

— Ano założyłem się po kilku butelkach, o butelkę wina, że schwycę jenerała przed frontem. Po trzeźwu na drugi dzień zamyśliłem się trochę, ale to nic. Jedziemy na flankiery, aż tu naprzeciw jenerał szykuje nieprzyjacielską jazdę do szarży. Mnie mignęło tylko przez głowę, zaraz pistolet w garść, walę czwałem wzdłuż frontu do jenerała, łapię za kołnierz lewą, prawą żgam lufą w krzyże i krzyknę, choć on po polsku pewnie nie rozumiał: Jedź szybko bo kula! Pogłupieli — a ja wygrałem!

— O Boże daj, byśmy takich ludzi, jak najwięcej mieli, — krzyknął doktor — który dotąd gorliwie gardło olejkiem osobliwym sma-

rował. A żołnierzom czarne myśli odleciały, i zgodnym chórem krzyknęli:

— Jeszcze nie zginęła.

III.

Dobre.

Cały naród pałał chęcią do boju; szlachta, mieszczanie i chłopi dawali dukaty, talary, złotówki, grosze, co kto miał na wojsko; do szeregów tłoczono się licznie, ale jenerał Chłopicki odrzucał wszystko co nad nakaz było dostarczonem i wszelkiemi środkami starał się stłumić zapał narodu zamiast z niego korzystać, bo nie potrzebował nowych powstańczych pułków, stare pułki zasilone rezerwami razem 50,000 głów aż nadto starczyły mu do jednej bitwy — nie dla zgromienia wroga, w taką możliwość wcale nie wierzył, lecz tylko by dla honoru się wytrzepać. I wódz zmarnował dwa miesiące czasu i zawiódł naród, który sądząc, że on wojsko do boju i zwycięstw chce prowadzić, zaufał mu najzupełniej. Złożył on urząd dopiero w chwili, kiedy nie dyplomatów i pisarków, ale wodza było potrzeba, gdy Moskale, wkraczali do Królestwa, ściągnąwszy 150,000 żołnierza przeciw Polsce.

Chłopicki mógł był stać się zbawcą Polski, ale uparł się zgubić powstanie, bo bez wiary we własną siłę i szablę wszystko piórem chciał robić. Mianowano wodzem na miejsce jego Radziwiłła,

ale ten sam nie umiejąc dowodzić, powodował się radami tylko Chłopickiego.

Wojsko przyjęło wkroczenie Moskali do Królestwa z dobrą otuchą, bo ufało w siłę narodu; jenerałowie po większej części zarażeni duchem niewiary i zwątpienia trwożyli się — bo woleli we wszystko inne wierzyć niż w to, że każdy naród tylko sam sobie pomódz i ocalić się może.

Luty 1831 roku na początku mroźny przyniósł wkrótce odwilż. Pułk czwarty stał rozłożony w miasteczku Dobrem, ośm mil od Warszawy, w gotowości bojowej. Pułk ten pałał gorącą żądzą boju — a kiedy wyruszył w pole, to uroczyście złożył przysięgę, że w pierwszej bitwie tylko bagnetem potykać się będzie. Pierwsze utarczki z Moskwą już zaszły — ale nieprzyjaciel nie był jeszcze tak blisko, aby na ten dzień na starcie rachować można; więc widać było po ulicach miasteczka pełno żołnierzy w szarych płaszczach uwijających się, inni siedzieli po kwaterach i gotowali sobie, bo już zmrok nadchodził.

W nizkiej chałupie, o strzesze słomianej, siedziało kilku żołnierzy z kapralem koło ogniska. Pośpiewywali sobie z cicha, kapral czyścił karabin, Mikołajewski ukończywszy czyszczenie broni kurzył lulkę, Witczak smarował tłuszczem przemokłe od śniegu obuwie, a młodziutki żołnierz, może szesnastoletni, który z innymi z gimnazyum trzemeszeńskiego uciekł do wojska, skrobał perki.

— Jakże ci te trudy obozowe służą — mówił Witczak do chłopaka. Nawykłeś do innego życia!

— Co tam, nie ma życia nad obozowe — lepsza w wojnie groch kapusta, niźli w domu kura tłusta! Tylko żebyśmy co rychlej Moskali spotkali, przecież i ja przysiągłem, że do pierwszej bitwy tylko pójdę na bagnety.

— Tak, to mi się podoba — przerwał kapral — jeżeli zasmakowałeś w niewygodach żołnierskich, to też tem lepiej użyjesz rozkoszy żołnierskich.

A Mikołajewski zanucił z cicha:

A kto chce rozkoszy użyć
Musi iść do wojska służyć!
Tam rozkoszy on użyje;
Krwi jak wody się napije.
Tam mu dadzą mundur nowy,
A na mundur kij dębowy.
Tam mu każą maszerować,
Jeszcze lepiej niż tańcować.
Jak to na wojence ładnie,
Kiedy ułan z konia spadnie.
Koledzy go nie żałują,
Jeszcze końmi go tratują.
Wachmistrz trumnę zrobić każe,
Rotmistrz z listy go wymaże.
A gdy już go pogrzebali,
Trzy razy mu ognia dali.

Trąbka mówi tratatata,
Nie mam ojca ani brata.
Ni żadnego przyjaciela —
Oprócz Boga Zbawiciela!

— Takie to nasze życie — mruknął kapral — ja bym za nic na inne mieniać się nie chciał!

W tem drzwi otwarły się i wszedł stary sierżant Wolski. Zerwali się z miejsc, robotę odłożono, stanęli frontem. Sierżant rzucił okiem po mieszkaniu, był porządek.

— Wiecie, że wiadomości mamy — przyjechał ułan z czwartego pułku od jenerała Dwernickiego, widać z dobrą nowiną. Tu stanie, bo jedyna tu wolna stajnia.

Jakoż wnet usłyszano kłus konia — a ułan stanął, zeskoczył i poszedł ku sierżantowi.

— Panie sierżancie — czy tu jest moja kwatera?

— Tak to ta właśnie — gdzieindziej miejsca nie ma, ale za to gadaj co słychać.

— Pobiliśmy Moskali, panie sierżancie — zaraz opowiem tylko konia opatrzę!

— Ha, nie mówiłem — wołał Wolski — nasze wojsko dzielne. I patrzcie, toć Dwernickiego żołnierz same rekruty, a zuchy pobili stare wyćwiczone Moskaliska! No my nie damy się im wyprzedzić.

Ułan wjechał na podwórko, konia wprowadził do stajni, rozsiodłał, ochędożył, napoił i za-

łożył siana, potem wszedł do izby, gdzie go niecierpliwie oczekiwano.

— Napij się — rzekł Mikołajewski podając manierkę — i zagryś kiełbasy, boś głodny pewno — a potem gadaj bo my niecierpliwi.

Wolski, ktory był poprzednio wyszedł, powrócił właśnie, kiedy ułan pokrzepiwszy się zaczął mówić:

— Było nas pod Dwernickim ze dwa tysiące koni, półtora piechoty i sześć dział, wszystko świeże i nie ćwiczone, a Moskali szło trzy razy tyle jazdy i armat pod Geismarem, co to miał pobić Turków w tureckiej wojnie. Wczoraj na południe spotkaliśmy się pod Stoczkiem. Nasz jenerał przemowił do nas: Dzieci, tam Moskale stoją, pokażcie im, że się nie boicie, ja was poprowadzę! Tak my hukniem: My ich pobijem, panie jenerale! i stanęliśmy do bitwy.

Moskale stali w półkole za miastem, po bokach mieli armaty, a my mieli armaty w środku, jazda była po bokach, a piechury stały pewnie stylu, bom ich wcale nie widział podczas bitwy. Nasz szwadron stał na prawem skrzydle. Ja jeszcze nie byłem nigdy w ogniu, więc było mi trochę dziwno, jak zaczęli do nas walić z armat, a ziemia stękać. Dopiero nasz stary wachmistrz Słoma, co jeszcze pod Kościuszką służył, jak zacznie z nich żartować — tak i nam przeszło to uczucie. Patrzymy, aż tu naprawem skrzydle moskiewskiem robi się ogromny zamęt, kozaki i dragony uciekają, strzelanie z armat u-

staje, widać naszych, a potem się wszystko pomięszało. Dobry początek, krzyknął wachmistrz, wnet na nas kolej będzie! Jakoż konne strzelcy, co obok nas stali, ruszają na Moskala, a Dwernicki przypada do nas i zawoła: Dalej wiara cwałem na wroga! Ruszyliśmy z kopyta, lance pochyliliśmy — a pędziłem na oślep i ogromną miałem zawziętość. Tak starliśmy się z nimi, ale w mgnieniu oka wywróciliśmy ich, rzucili więc działa i zaczęli w niezmiernym przestrachu uciekać. My za nimi, jeńców łowiliśmy co krok. Geismar miał wybornego konia, więc zdołał uciec, ale zdobyliśmy jego bagaże. Nasz wachmistrz uchwycił jakiegoś rotmistrza od dragonów, a byłem wtenczas przy nim. Wyskoczyliśmy naprzód, aż kilku dragonów prześcignęliśmy, dopiero jak my zaczęli się do rotmistrza onego dobierać, doskoczyło kilku ich i dalej na nas. Wachmistrz stary i doświadczony jedną ręką za kołnierz trzymał Moskala, drugą jednego dragona tak ciął, że mu szabla wypadła z ręki, a potem drugiego między oczy, że runął z konia. Ja z lancą stoję, aż tu leci dragon na mnie, pchnąłem tylko, ów zleciał z konia zanim mnie mógł dosięgnąć, aż mi dziwno było — że tak łatwo idzie. Więc śmiało lancą pchałem — dobiegli inni, wycięli i pobrali dragonów, a potem kazano nam wracać. Jedziemy, aż tu na drodze stoją furgony Geismara, wiara przy nich i jenerał woła: co znajdziecie w tym wozie Geismara, to wasze — patrzę, dobywają tytuń Geismara śliczny. Za-

raz go zakurzylim w lulkach — i drwiliśmy, że taki wielki jenerał nawet swój tytuń, co go na Turkach zdobył, porzucił i przed Polakami zmywał, a konował szwadronowy łyknął wódki geismarowej i mruknął: Bóg nasz a my jego, nie pójdziemy wszyscy do niego. Więc z radością wielką wracamy do obozu, a tam dopiero dział dwanaście zdobytych oglądają, i kiesony z nabojami, i uprząż ładną. Jak zobaczyli jenerała, to aż ziemia drżała od okrzyków: niech żyje Dwernicki! a on zawołał: Dzieci, obiecałem wam prowadzić was na wroga, wyście mi go obiecali pobić, patrzcie, dotrzymaliśmy wszyscy słowa, niech żyje Polska! I ściskaliśmy się z radości, bo świeży i niewprawny żołnierz a pobił trzy razy tyle starych moskiewskich wojaków. Póki mego życia dnia tego niezapomnę!

— Na zdrowie Dwernickiego — zawołał Witczak — pod takim walczyć to rozkosz — zdrowie wasze ułanów! i podał manierkę ułanowi.

— Zdrowie czwartaków, bodaj wam się tak udało pobić Moskali, jak nam pod Stoczkiem! Już takiego jak Dwernicki jenerała to szukać; śmiały i przezorny w boju, o żołnierzu pamięta, umie do niego przemówić od serca; póki mego życia nie opuszczę go!

Gwarzyli jeszcze dłużej żołnierze po odejściu Wolskiego, ale gdy późno się zrobiło, przypomnieli sobie, że należy się wywczasować i rzuciwszy się na słomę usnęli snem twardym. Nazajutrz odjechał ułan do szwadronu, a pułk czwarty

wysyłał patrole i czujność podwojono. Mimo to dzień 16 lutego spokojnie upłynął; tylko dowiedziano się że Moskale dwoma kolumnami po dwóch drogach do Warszawy iść zamierzają. Skrzynecki, dowodzący słabą bo tylko ośmiotysięczną dywizyą, do której pułk czwarty należał, otrzymał rozkaz powstrzymania trzydziesto tysięcznego korpusu Rosena.

Rychło rano jeszcze ciemność pokrywała ziemię, kiedy dnia 17 go lutego wszystko stanęło przed Dobrem pod bronią, na małej płaszczyźnie, w środku szosą przerzniętej, osłoniętej strumykiem, a z boków osłoniętej lasami. Snieg lekki pokrywał ziemię, drzewa stały nagie, ale zbita ich gęstwina nie dawała oku wolnego widnokręgu. W środku stanął batalion czwartego pułku okrakiem na szosie z czterema działami, za nim weterany; sam Skrzynecki dowodził tą częścią; na lewo stał pułk piąty, na prawo dwa bataliony czwartego.

Skrzynecki objeżdżał na rosłym koniu stanowisko, i wysyłał ułanów na zwiady. Na prawem skrzydle dowodził pułkownik Bogusławski. Pierwszy batalion z czterema działami stał zasłonięty przez drugi batalion, zajmujący las w tyralierach.

Sierżant Wolski patrzał na swą kompanią z dumą, bo na wszystkich twarzach malowała się gorąca chęć do boju. W tem usłyszano huk wystrzałów i dym prochu wionął od strony lasu. Wkrótce ujrzano gęstsze kupy Moskali, usiłu-

jące się wydobyć z lasu na płaszczyznę otwartą, ale droga ciasna nie pozwalała im się w prawo ani w lewo rozpierać. Nagle odezwał się grzechot ognia — i ujrzano naczelne kolumny moskiewskie cofające się w nieładzie.

— Widzicie — mówił Wolski rozpromieniony — idą na bagnety, tyralierzy nasi uderzają na Moskala z bagnetem. Nie, to tylko nasz pułk czwarty potrafi!

— Już cofają się — rzekł obok stojący podoficer Kujawa, — teraz atakują znowu — a nasi sciągają się ku nam, wnet na nas przyjdzie kolej!

Grzmot dwudziestu dział moskiewskich zaczął ryczeć w lesie, kule padały gęsto rując pole, lub uderzając w drzewa, ale ogień nie celny nie czynił Polakom wielkiej szkody. Dybicz, wódz moskiewski osobiście dowodził atakiem i pchnął kolumny drogą z lasu ku płaszczyźnie. Ale droga była wązka, a przed nią i po jej boku stały działa polskie. Skrzynecki skoczył do szefa bateryi.

— Zaraz mi wziąć Moskali w krzyżowy ogień!

— Ognia kartaczami od prawego — zabrzmiała komenda, i milcząca dotąd bateryа przemówiła. Kolejno grzmiały działa polskie, siny dym otulał pobojowisko, kartacze szumiały ku szeregom moskiewskim, a ile razy wiatr odwiał wstęgę dymu, widać było cofającego się w nieładzie wroga i wyjścia z lasu okryte trupami. Żelazno — karne bataliony zachwiały się pod cel-

nym ogniem, i wreszcie stanęły nie kusząc się o niemożliwe dotarcie drogą do Polaków.

Tymczasem przeciw prawemu skrzydłu Polaków zaczął się w lesie jakiś ruch.

— Dzieci — zawołał pułkownik Bogusławski, szykując swe dwa bataliony do ataku, — pamiętajcie, że dziś dzień, w którym spełnicie przysięgę waszą!

— Pokażem Moskalom, co znaczy pułk czwarty, nie damy się — zagrzmiały głosy żołnierzy.

Z lasu rzuciło się kilka batalionów moskiewskich z bagnetem najeżonym, bębny warczały, a chorągwie pułkowe wiały, okrzyk zaś „hurra"! dolatywał czwartaków.

Niecierpliwi boju czwartacy w skamieniałej nieruchomości patrzeli jak w tęczę na pułkownika, oczekując rozkazu. Wreszcie usłyszeli: Dalej do ataku wiara!

Z okrzykiem „niech żyje Polska" ruszyły oba bataliony biegiem ze spuszczonym do ataku bagnetem i starły się z Moskalami. Walka na chwilę stanęła w miejscu; na miejscu deptali Polacy i Moskale krzyżując w ciszy bagnety, wkrótce jednak zachwiała się kolumna moskiewska. Jako filar mostowy, podmyty wodą, długo stoi i opiera się naciskowi, potem lekko zadrży, wreszcie runie w głąb, tak i nieprzyjaciel runął pod parciem bagnetów polskich, szyk rozluźnił się, i nasi zaczęli ich ścigać.

— Hej bierzcie pułkownika — krzyknął Wolski — i rzucił się z bagnetem na Moskala. Ten uchnął szpadą, ale ostrze ześlizgnęło się wzdłuż lufy karabinowej, sierżant bagnetem sięgnął; oficer runął z konia, a krew broczyła zdeptaną ziemię. Okrzyk „niech żyje Polska“ grzmiał aż do lasu; Moskale ustąpili. Ale przezorny pułkownik Bogusławski, niechcąc niebacznie wystawiać się na rozbicie, niepozwolił zapuszczać się w las, tylko ściągnął swe bataliony.

Nowe kolumny wychodziły z lasu. Już nie ufając w bagnet powitali salwą trzykrotną Polaków. Pułk czwarty gardząc ogniem ruszył powtórnie z bagnetem do ataku plutonami, i szybko przebył przestrzeń dzielącą ich od wroga. Mikołajewski lekko draśnięty bagnetem walczył dobrze z dość zimną krwią, ale Witczak na widok padających kolegów pod ogniem moskiewskim, rozognił się niezmiernie. Opanowała go szalona chęć walki; nieczekając drugich, wyskoczył przed front i zaczął bagnetem ryć się w tłum wroga. Ci zdumieli się jego wściekłością; kilkanaście bagnetów zmierzyło się na niego, ale w tej chwili uderzył szereg polski i pomięszał szyk. Uniesienie niezmierne ogarnęło wszystkich. Moskale wódką zamroczeni i atakiem pomięszani bili się uparcie, ale nie mogli zdzierżyć zaciekłości polskiej. Witczak obrócił karabin lufą w tył, ujął go jako maczugę, i zaczął walić jak cepem. Inni ryli się bagnetem, wywracając wrogów, i wnet moskiewskie kolumny unikając zupełnego zniszcze-

nia cofnęły się do lasu. Polakom nakazano się powtórnie cofać.

Cofnęli się, jak się cofa morze, zostawiając piasek nadbrzeżny pokryty muszlami; tak trupy i ranni pokrywały puste pole. Ale nowy bałwan uderza, przelatując ponad piaskiem, po trupach poległych nowe kolumny Dybicza uderzają raz trzeci, bo Dybicz ma dużo wojska, i może je marnować. Nie czekając komendy, rzucili się czwartacy raz trzeci na wroga. Moskale waleni kolbą, bodzeni bagnetem na prawo i lewo mimo liczebną przewagę nie mogli powstrzymać zaciekłego natarcia i zaczęli się cofać.

— Dalej za nimi! — huknął Bogusławski i Polacy jechali już na karkach wrogów. Ci rozprysnęli się na kompanie, plutony, by ocaleć skroś rzedzizny lasu, ale czwartacy rozluźnili się w tropy i kupkami uderzali na ostre. Kujawa przebił moskiewskiego porucznika, drugiemu Witczak łeb strzaskał kolbą — wszędzie cofali się Moskale, a nasi za nimi zagłębiali się w las. W tem na lewem skrzydle polskiem zaczerniało parę pułków. Skrzyneckiego adjutant przypadł:

— Pułkowniku — nazad!

— Djabła tam, przecie my górą!

— Nazad! Moskale wam z boku zachodzą, na drugi raz odłożyć ochotę!

Niechętnie cofali się czwartacy na dawne stanowisko.

Jednocześnie wrzała walka na lewem i w centrum polskiem, lubo mniej krwawa. Ale i tam

stalowe ramię Polaków odparło nawał tłuszczy Dybicza. Około południa walka ustała. Cel był osiągnięty, nieprzyjaciela marsz został na cały dzień powstrzymany, więc Skrzynecki wydał rozkaz cofania się ku Warszawie.

Pole było obficie pokryte trupami i ciężko rannymi, tysiąc Moskali i trzystu Polaków leżało na krwawym kobiercu, na brudnej ziemi zmięszanej z zakrwawionym śniegiem, świecąc kałużami zakrzepłej krwi, z bronią kurczowo dzierżoną w ręku. A wokoło szumiał nagi las — i wiatr roznosił po lesie wieść, jak przyjęli najezdników Polacy.

Skrzynecki zatrzymał się przed pułkiem czwartym. Na karym koniu wspaniale wydawała się jego rosła postać, twarz wielka i dumna, bez zarostu, mundur jeneralski,

— Żołnierze — zawołał — wszyscyście spełnili dziś wasz obowiązek, lecz pułk czwarty był walecznym z walecznych. Pięknie dotrzymaliście przysięgi — u was najliczniejsze straty i blizny, ale najpiękniejsza chwała.

Pod sznur wyprężeni stali czwartacy, szeregi były przerzedzone, wszędzie widać było rany, ale oczy błyszczały chęcią boju i dumą.

— Pułkowniku — zwrócił się jenerał do Bogusławskiego — pokaż mi najwaleczniejszych, bym ich nagrodził!

— Trudno tu najlepszych wyszukać. Aleć oto druga kompania — rzekł, wskazując na kompanią, w której jaśniał Wolski, Witczak z

ręką przewiązaną, Mikołajewski z chustą na czole — mocno uszczuplona; straciła bardzo wielu ludzi, będzie ze czterdziestu, kilku kaprali i podoficerów i jednego oficera. Tego tu wiarusa — rzekł wskazując na Witczaka — uważałbym za dobrego na kaprala; on wyskoczył przed front przy ataku i pierwszy się rzucił na wroga!

— Wystąp — przemówił Skrzynecki — od dziś jesteś kapralem; pamiętaj byś nadal się tak bił jak dziś i został zawsze chlubą czwartego pułku!

Witczak promieniejący z radości powrócił do szeregu, a za odjeżdżającym Skrzyneckim goniły okrzyki tryumfalne żołnierzy.

Tak spełnił przysięgę pułk czwarty.

IV.

Grochów.

Na szosie prowadzącej do Warszawy majaczeje zdala w ciemności nocnej las Dąbrowej Góry, nagi, bezlistny, bo luty panuje. Widać w lesie baraki nędzne, sklecone z tyczek i słomy, a w tych barakach leżą na słomie żołnierze wynędzniali.

To wojsko moskiewskie, trzykroć od Polaków liczniejsze zalega na milę od Warszawy wszystkie drogi, bo rano nazajutrz ma stoczyć się bitwa straszna. Ale nie Moskale leżą w tym szałasie, który stoi nad Okuniewską drogą; świadczą jasne oczy, włosy, łagodność i smutek

rozlany po ich twarzach, które przy niepewnem płomieniu ogniska rozeznać można, że to są ludzie z liczby nieszczęsnych Litwinów, porywanych w rekruty, by zdala od rodzinnego kraju marnieć na posługach wroga Ojczyzny.

— Smutna nasza dola — szepce jeden z nich zcicha, człowiek już przygnębiony, wynędzniały na ciele i twarzy, z licznemi zmarszczkami — tylu naszych już legło, legnie jeszcze więcej jutro — i to jeszcze przeciw Polakom, naszym braciom.

— Tak — podchwycił drugi — już gorszego nie ma losu! Niedość że musimy iść w ogień, ale jeszcze katują! Wiesz, że Jędrzeja, któremu stempel się pogiął, za karę tak zbito pałkami, że pewnie nie wyjdzie!

Smutno uśmiechnął się starszy.

— Tyś nie tak dawno jak ja we wojsku — takie rzeczy zdarzają się często.

— Cholera zaczyna się pokazywać — wtrącił z cicha trzeci — tylko zakazują o tem gadać, ale sam widziałem jak trupów wynosili!

— Od niewygód to; człowiek w zgniliźnie i błocie chodzi i śpi, jeść nie dadzą lepiej niż w koszarach, wszystko zgniłe, stęchłe, i nawet nie dosyć — jak tu cholery nie ma być! To kara Boża na Moskali, że nas tak męczą!

— Gdybyśmyto lepiej do polskiego wojska się dostali, tam choć i niewolnikom to dobrze — mówił ów młody żołnierz — powiadał mi znajomy od kozaków, co tam jeździł z pismem. A u

nas! Ot w czasie bitwy rzucić broń, albo dalej na Moskali.

— Cicho — żeby tylko kto nie dosłyszał przerwał stary — byłoby z nami źle. Ale przecież uważaj, oni nas mięszają zawsze między Moskali — toby było trudno, bo nawet nasi nie wszyscy wiedzieliby co mają robić, takby na nas się skrupiło. Lepiej widzicie poczekać aż Polacy pobiją Moskali, albo uciec; a zresztą do tego wszystkiego trzeba się namówić, tylko ostrożnie, bo byłaby wielka bieda, jakby kto słyszał. Już na jutrzejszą bitwę to trudno; za mało czasu żeby się namówić — chyba że okazya będzie. A teraz prześpijmy przynajmniej nasz głód, jutro czas do bitwy!

* * *

Rano dnia 25 lutego 1831 roku stało wojsko polskie w liczbie 35 tysięciu ze stu działami pół mili od Warszawy pod Grochowem naprzeciw potrójnej sile moskiewskiej. Na lewo szosy od Warszawy do Grochowa wiodącej rozciągał się na tysiąc kroków lasek olszowy, o niego opierał się prawem skrzydłem pułk czwarty, a dalej na lewo stała reszta dywizyi Skrzyneckiego, aż do bagien. W lasku stała dywizya jenerała Żymirskiego, a przy żwirówce za wsią Grochowem widać było strzelców Szembeka, prawem o bagno opartych. Kilka bateryi stało na prawo i lewo Olszynki, zwracając paszcze pokryte skórzanemi futerałami ku wrogom.

Pułk czwarty stał pod bronią, bagnety połyskiwały długim rzędem w ciemnych mgłach po ranku. W tem ujrzano męża w cywilnem ubraniu przebiegającego szeregi; był to poseł, zachęcający żołnierzy do walki za najświętszą sprawę.

— Bracia żołnierze — przemówił, zatrzymując się przed czwartym pułkiem, — wasze czyny dowiodły, że nie zawiedziecie narodu ufnego w nasze męztwo; otóż sejm wdzięczny, aby was od wszelkich trosk uwolnić, postanowił utrzymywać na koszt publiczny tych, którzy rany ciężkie w boju poniosą, oraz żony i dzieci poległych. A jeżeli macie jeszcze jakie życzenia, te ile możemy, dopełnione będą.

— Bóg zapłać za dobre chęci — zawołał Mikołajewski — mam ci ja też żonę, ale my tu wszyscy chcemy się bić i nie myślimy kalekami albo trupami zostać; więc jeżeli sobie czego życzyć możemy, to dajcie nam chleba i wódki, bo o głodzie i chłodzie trudno wojować.

— O skromni żołnierze — odparł poseł — na tem ograniczają się wasze życzenia! Waszem męztwem i skromnością zasłużyliście na wdzięczność narodu; pierwszą to naszą będzie troską, byście nigdy nie zaznali głodu ani niedostatku!

Poseł się oddalił, a nadjechał jenerał Chłopicki. Lubo wodzem nie był, jednakże nad niego lepszego jenerała nie było w obozie, a Radziwiłł wszystkiego się u niego radził, więc miał rzeczywiście w swych ręku komendę.

Był on w szarym płaszczu cywilnym szczelnie zapiętym, na głowie miał czarny cylinder, kurzył zaś czerwoną małą glinianą lulkę, nawyknieniem z obozu napoleońskiego. Żołnierzy na widok jenerała dreszcz przebiegł po całym ciele; Chłopicki popełnił wprawdzie tyle strasznych błędów, — ale zawsze był to żołnierz z krwi i kości, wojownik z pod Kościuszki i Napoleona, więc przeczuli żołnierze, że kiedy da pokój gadaninie i pisaniu listów, a raz weźmie oręż, to mimo woli nawet, przez dawne przyzwyczajenie pobije wroga, poprowadzi ich, jak wiódł pułki szturmujące pod Saragossę.

— Żołnierze — zawołał, a głos jego jak piorun wstrząsnął wiarusami — Moskale uderzą na Olszynkę, bo bez niej nie dostaną się nigdy do Grochowa i Warszawy; wy stoicie koło niej, pamiętajcie, żeby się wrogom nie dostała!

Połysk oczu i drgnięcie żołnierzy świadczyło, że wszelkich sił dołożą, by dopełnić obowiązku; tylko — czemu jenerał Chłopicki dawniej nie uwierzył, że Polacy mogą śmiało a nawet zwycięzko mierzyć się z carem, wtedy kiedy mógł tyle wojska przygotować, kiedy naród hojnie składał ofiary; czemu więcej użył usilności na pohamowanie i przytłumienie zapału, niż jej było potrzeba na przeniesienie wojska polskiego pod Moskwę? Czemu dziś dopiero, kiedy trzech wrogów było na jednego Polaka, wstąpiła w jego duszę taka ufność!

W drugiej pierwszego batalionu kompanii

po cichu rozmawiał raz poraz sierżant z żołnierzem.

— Czemu to Krukowieckiego z dywizyą nie widać — pytał Witczak, zdobny guzikiem kapralskim.

— Bije się ze Szachowskojem, który Dybiczowi na pomoc spieszy. Ale i my wnet będziem mieli bitwę, już widno dosyć się robi — patrzcie, na wzgórkach naprzeciw, jaki ruch!

— Działa zataczają pewnie, bo konie widać — odparł Kujawa, stary podoficer.

— Wiara — ozwał się sierżant — pamiętajcie co jenerał Chłopicki mówił; toć już nam nie pierwsze bić się, więc walcie Moskala tak, jak pod Dobrem, albo jeszcze lepiej, żebym się za nasz pułk czwarty nie wstydził!

W tem zabrzmiała komenda: Baczność! Głos umilkł, i w natężonem oczekiwaniu patrzeli żołnierze na czerniawę zalegającą przeciwległe wzgórza. Mgła już spadała, dzień bez słońca wszedł na niebo.

A na wieżach Warszawy biła dziewiąta i głos płynął ku ziemi skroś obłoku mglistego. Wielu mieszkańców wyległo na dachy i wieże, by ścigać okiem zapasy wojska z wrogiem; niewiasty po domach skubały szarpie na rany, lub pielęgnowały rannych waleczników; inne zalegały tłumnie świątynie, a z dymem kadzideł unosiły się ku niebu modły błagalne o powodzenie oręża polskiego; po lazaretach miotali się

rycerze ranni, że pospół z drugimi na polu bitwy lać nie mogą krwi za Ojczyznę.

W tem ozwał się pierwszy grom; wnet zagrzmiało stokilkanaście wylotów wieńczących wzgórza otaczające Olszynę i Grochów, okrywając pola sinym obłokiem, i krzyżując swe ognie na Olszynę. Z trzaskiem rozrywały kule stare drzewa, gałęzie padały obcinane pociskami, pułki Żymirskiego mniej czułe od drzew stały niewzruszenie pod ulewą piorunową. Nagle dudni po szosie, to baterya lekkokonna Rzepeckiego ruszyła galopem i wpadła z boku na moskiewskie działobitnie. Ogień moskiewski musi się odłamać ku tej bateryi, kule obustronnie przelatują, ale polskie działa celnie biją, co strzał to trafny. Milkną gromy moskiewskie, jakby kto nożem uciął; tylko naprzeciw prawemu skrzydłu polskiemu warczy kanonada.

— Cóż to, zapytał Mikołajewski porucznika.

— To Moskale idą do szturmu na Olszynę!

To Rosen idzie w szesnaście batalionów na sześć batalionów Żymirskiego, zajmujących Olszynę. Kanał zamarznięty i bagna niedługo wstrzymały kolumny trupkiem zamroczone i ślepo karne; z hukiem bębna i tryumfalnem hurra! rzucili się ku Olszynie. Polskie baterye wzięły tłumy te na cel, prawy i lewy brzeg Olszyny płomienieje wystrzałami, kartacze orzą głębokie brózdy w szeregach wroga. „Szlusować“! brzmi nieustanie moskiewska komenda. Zwierają się tłumy ponownie, strachu one nie mają, chyba

przed karą oficera; wódka zasłoniła przed ich myślą los tych, co zabici ziemię licznie pokrywają. Dochodzą już Olszyny. Cały lasek zamienił się w wulkan gorejący setkami pocisków, bo polscy tyralierzy z za drzew śmiało a celnie walą a do kogo zmierzą — ten trup. Jak ulewny deszcz, tak gęsto padają polskie pociski i zaczynają się już chwiać kolumny moskiewskie. Rosen podesłał im brygadę w pomoc, a wsparci nią rzucają się do lasku.

Żymirski jenerał, niechętny sprawie powstania, słucha zapału żołnierzy.

— Na bagnety — grzmi komenda polska — a z drugiej strony słychać krzyki: Sztykami rabiata.

Las olszowy, zwykłe ptaków zaciszne schronienie, staje się widownią krwawej rzezi. Polacy walczą bagnetem tylko przeciw podwójnej przemocy o każdą piędź ziemi. Drzewa pościnane kulami działowemi, z kory odarte i podziurawione kartaczami, same patrzą w obojętnej martwocie na walkę wrzącą u jej stóp, na ziemię zdeptaną, krew pomieszaną ze śniegiem, na trupy i rannych, na żywych wściekłość.

Żymirski patrzy na walkę okiem niechętnem, chciałby się z Olszyny wycofać. Przybiega Kruszewski, adjutant Chłopickiego.

— Jenerał masz trzymać Olszynę póki tylko można!

Żołnierze przepierają się z wrogiem, raz fala szyków moskiewskich oslizgnie się po skale

piersi mężnej garści, i cofa się napowrót, to znów Moskale, jak powiew wichru odrzucają falę małą choć wartką dzielnych Olszyny obrońców. Rosen zrozpaczony, że rozkazu Dybicza nie spełni. W tem błyska mu w głowie myśl, porywa kilka batalionów i uderza na prawą krawędź Olszynki. Polacy znużeni dwu godzinną walką wzięci od prawego w dwa ognie, w krzyżownicę podwójnego ognia chwiać się zaczynają.

Drugi raz adjutant przybiega.

— Jenerale trzymaj Olszynę póki tchu starczy!

— Batalion stargany, nie wytrzymają.

— Masz trzymać się jenerale, więc walcz!

Prawe skrzydło polskie pod strasznym naciskiem ustępuje powoli, a z obu stron pada gęsto trup. Prawa strona lasku już w ręku Moskali, Rosen szykuje swe rezerwy, Olszyna wnet będzie w ręku Dybicza!

Adjutant przypada raz trzeci na koniu spienionym i skrwawionym. Działa już zaczęły znowu grzmieć.

— Jenerale, Chłopicki jenerał rozkazuje ci zaraz zdobyć Olszynę napowrót.

— Nie mogę — odpowiada Żymirski z niechęcią i gniewem, wtem kula działowa rozrywa go w pół, obryzgując adjutanta krwią. Olszyna już w ręku Moskali.

Chłopicki przybiega osobiście.

— Co to?

— Olszyna wzięta, Żymirskiego rozerwało!

— Szkoda, że rychlej nie padł! — Dalej pułkowniku — woła na Bogusławskiego, teraz na ciebie czas!

Brygada Bogusławskiego formuje się w kolumny atakowe, przodem idzie pułk czwarty, wiarusy ledwie starcia mogą doczekać, a maszerują pięknie i równo, jak na paradzie.

— Proch z panewek! — I zdmuchują wszyscy proch z panewek, bo nie strzałem ale samym bagnetem chcą walczyć.

Wolski patrzy groźnie, on który tak łagodnego był spojrzenia; kapral Witczak kroczy z powagą, a wiara nogi wyciąga pod miarę; bębny grzmią, słychać komendę: do ataku broń i z regulaminową dokładnością zniżają wszyscy broń do uderzenia. A z drugiej strony w Olszynie Moskale szykują się do ataku.

Lecz jako powódź na tamę tak idą polskie pułki na wroga, z obu stron słychać okrzyki: Niech żyje Polska i hurra! Niewstrzymany zapęd polski wymiata od razu Olszynę do czysta. Śmiałością polską tłumy ubezwładnione, bronią się lecz daremnie; jeden wir ich porywa, jak powódź zmiata chaty, tak zmiatają Polacy bataliony moskiewskie i odrzucają je ku Dybiczowi. Dybicz chwyta nowe pułki, dwie dywizye Rosena, a trzecią prowadzi Neidchard na prawą krawędź Olszyny do szosy. Wszczyna się rzeź krwawa w Olszynie ponownie. Pułk czwarty cały zbryzgany krwią własną i nieprzyjacielską, okopcony wystrzałami, z mundurami zbrukanemi,

podartemi od kul i bagnetów walczy z lwią odwagą. Stary Wolski, który w wielu bitwach był, nie traci zimnej krwi, ale walczy dość dzielnie i krzepko, lecz spokojnie, upatrując gdzie uderzyć.

— Widzicie tego kapitana — to śmiała sztuka, dalej sprzątnąć go!

Ale żaden nie może strzelać, bo miejsca nie ma, by karabinem obracać w takim natłoku; więc kilku żołnierzy rzuca się z bagnetem i tonąc w tłumie wroga ryje drogę sobie, na czele podoficer Kujawa, obok Mikołajewski, zwinny jak wąż, przebijając bagnetem Moskali zawalających przystęp. Już są około niego, już go Kujawa bagnetem sięga, ale wysunął się nadto, bagnety moskiewskie rozszarpują jego pierś!

— Dalej wiara — pomścić mnie — ryknął konający ostatnim wysiłkiem, a krew buchała mu strumieniami.

Mikołajewski kolbą rozbił czaszkę kapitanowi, drudzy nadbiegli, batalion moskiewski chwieje się i cofa. Nowy posiłek Moskalom nadchodzi, Polakom mdleją ręce, bo przecież cztery razy tyle wroga co ich, zgrzytając zębami i każdy krok wstecz krwią nieprzyjacielską okupując, cofają się czwartacy przerzedzeni, bo kilkaset trupa zostawili w Olszynie.

W tym przyskoczył Chłopicki do Olszyny.

— Skocz do Skrzyneckiego — woła do adjutanta, niech zbiera co ma z dywizyi i na lewy bok Olszyny uderzy.

Już reszta dywizyi Rosena osadza zdobytą krwawo Olszynę, i Neidhard pułki prowadzi świeże na posiłek Rosenowi, ale krzyżowy ogień bateryi polskich osadza je na miejscu, bataliony stawają, mięszają się, kręcą, wreszcie pierzchają rozwiane pod własne działobitnie.

Skrzynecki ściąga przerzedzone pułki, czwarty i ósmy, grzmi bębea, i znów uderzają ochoczo. Chłopicki sam z Prądzyńskim, z lulką krótką w ręku, spokojny wśród jęku konających, grzmotu dział, zamętu, jak bóg wojny prowadzi grenadyerów Milberga i strzelców pieszych.

— Teraz grenadyerzy na was kolej!

Grzmi pieśń „Jeszcze Polska niezginęła“, szturmowym krokiem przebiegają żołnierze przestrzeń do Olszyny zasypaną kulami, i uderzają na Moskali. Mycielskiemu dzielnemu urywa kartacz trzy palce, przewiązuje chustką ranę i dalej z pułkiem czwartym, potykając się co krok o trupów. Kula karabinowa rani go w nogę, on nie zważa na nią — idzie dalej do Olszyny. Ramiona Polaków zdają się mieć poczwórną siłę, jak błyskawice rozrywają bagnety ich massę wroga, pierzchają bataliony jego, Polacy zdobywają Olszynę znowu — a wróg ucieka.

— Dalej dzieci — woła Chłopicki — weźniem działa moskiewskie!

I bataliony co zdobyły Olczynkę rzucając się za wrogiem, już są blizko dział, już są przy nich, a Moskale cofają się w nieładzie.

A bataliony co zdobyły Olszynę gnają za wrogiem, Moskale bronią się za linią dział, już widać wyraźnie paszcze ich — wnet są przy nich Polacy, tylko mała garść wroga usiłuje bronić dział.

Mikołajewski i Mycielski rzucają się śmiało na działo najbliższe, milczy już — ale zdala słychać gromy Palena. Na nic nie zważają Polacy, Mycielski dopada działa, dobywa gwoździa i chce je zagwoździć, w tem kula działowa, jak grom go razi i rozrywa na pół. Zręki poległego bohatera dobywa Mikołajewski gwóźdź, choć kilka karabinów celuje na niego nie zważa on na to, grzmią wystrzały, jedna kula drasnęła go w policzek, krew spływa na mundur, ale działo moskiewskie już zagwożdżone. Chłopicki tryumfuje.

Lecz polskie bataliony są szczupłe i stargane już walką długą; a teraz ścigając wroga rozluźnił się szyk i impet uderzenia osłabł, by zatargać szyk nieprzyjacielski do dna, trzeba rezerw. A tu Dybicz ściąga co ma, rezerwy grenadyerskie i dywizye jazdy.

— Rezerwy — woła Chłopicki, rozganiając adjutantów po posiłki — by zwycięztwo rozstrzygnąć.

Ale rezerwy pieszej nie ma, wszystkie siły były albo już stargane, albo w ogniu, szczęty dywizyi Szembeka zatrudnione ogniem Palena nie mogą się odrywać. Czemuż to jenerał Chłopicki dawniej nie pomyslał, by zorganizować wię-

cej wojska, czemu odpychał rekrutów, nie byłby teraz się skarzył, że brak rezerwy zwycięztwo z rąk mu wydziera. Rozpacz zatargnęła jego sercem, jasno stanęły mu przed oczyma wszystkie błędy, powstał straszny wyrzut sumienia: mógłeś otrzymać laur najpiękniejszy, imię oswobodziciela Polski, a samochcąc pozbawiłeś się sławy, zdarłeś wieniec z swej głowy.

Przypada adjutant.

— Jazda ukazuje się po lewej stronie szosy!

— Skocz do Łubieńskiego po jazdę — odpowiedział Chłopicki.

Jazdy nie widać, bo Łubieński Chłopickiego rozkazów nie chce słuchać; Moskale tymczasem poruszyli już wszystkie rezerwy i ogień dział grzmi na nowo strasznie smagając bataliony, — które cofają się do Olszynki. W tem granat pęka pod koniem Chłopickiego, okrzyk boleści wznoszą żołnierze, wódz, który sam jeden mógłby bitwę wygrać, ciężko raniony; odnoszą go na karabinach. Pułk czwarty stoi w Olszynie, od lewej strony widać chmury czarne, i zaczyna się ogień działowy.

— To Krukowiecki wypuścił Szachowskoja, teraz nas z tyłu weźmie — powiada jenerał Skrzynecki do Bogusławskiego — Olszyny nie utrzymamy.

A tymczasem walą się dywizye moskiewskie, walą się z przodu i z boku na Olszynę. Pułk

czwarty i ósmy nielicznie już walczą z uporem rozpacznym, ale nie myślą o odwrocie.

— Dalej bracia — zachęca stary sierżant swą garść — naprzód! I straszny zamęt panuje. Ni Polacy, ni Moskale nie myślą strzelać, w natłoku tylko bagnet i kolba pracuje, po trupach poległych drą się nowe szeregi, a w gorącej walce stracili żołnierze chęć odbijania ciosów, wiedzą że Moskali nie wyprą, ale póki tchu i siły odpierają nawałę murem stalowych bagnetów. W tem grzmią nowe gromy, to czterdzieści dział Szachowskoja bierze z tyłu lasek. Granaty i kule pełne padają, jako deszcz nawalny w dzień letni, i orzą zbite kolumny nielicznych obrońców Olszyny. Lasku nie można utrzymać, Bógusławski nakazuje odwrót, ale za kołnierz muszą oficerowie żołnierzy wyciągać z tego piekła ognistego.

— Formuj czworoboki — brzmi komenda Skrzyneckiego. — Bataliony ściągają się i formują za Olszyną, skośnc do szosy, prawem ramieniem w tył cofniętem o nią opierając, lewem o zamarzłe lekko bagna. Na lewo od zdobytej Olszyny staje sześćdziesiąt dział moskiewskch, na szosie głębokie masy piesze Palena i Murawiewa; a przed ich frontem trzy dywizye konne szykują się do ataku.

Pułk czwarty stoi w szczupłych czworobokach, ale mimo rany i znużenia żołnierzy, błyszczy w oczach męztwo, a bagnety pochylone sterczą nieprzebytym płotem naprzeciw wrogom.

Grad kartaczy obsypuje linią polską. W tem zrywa się szarża, trzy dywizye ruszają z kopyta, środkiem kirysierzy w pancerzach mosiądzem i stalą błyszczących, wiejący kitami końskiemi z hełmów, lśniący wyniesionym rzędem pałaszy, po bokach huzary i ułani. Ziemia dudni od szarży, serce Polakom wali jak młotem, ułani zbliżają się do czwartego pułku, z płotem zniżonym lanc wiejąc chorągiewkami.

— Baczność — grzmi komenda — tuj, cel! i karabiny od uda przenoszą się do ramienia, a ucho chciwie czeka, by schwycić dalszą komendę. Już ułani są na pięćdziesiąt kroków.

— Pal! i bucha salwa szeregami, dym osłania czworoboki, wiatr go odwiewa, widać ułanów rozproszonych, wielu jeźdźców leży na ziemi, wiele koni biega bez ułanów, następna linia chwieje się, okrąża nieśmiało czworobok, nowa salwa grzmi, dumne szwadrony uciekają i po drodze tratują własnych rozbitków. A na prawo uciekają kirysiery w nieładzie, białe ułany Kickiego idą za nimi w pogoń.

— Jak uciekają — zawołał Witczak, — nie mogąc się pohamować i chciał biedz za nimi ale bataliony stoją nie ruchomo.

— To rzecz jazdy — my nie możemy — odpiera Wolski — za mało nas.

Jazda moskiewska ucieka, polskie baterye i rakiety obdarzają uciekających pociskami; Dybicz sam cofa pułki swe ku lasom, gdzie rano

stał, niechce próbować dalej męztwa Polaków, i obawia się, że nadejdzie Krukowieckiego dywizya.

Zapada zmrok. Polacy ostatni opuszczają zwolna pobojowisko i przechodzą do Warszawy, kosynierzy podnoszą jako trofee pancerze, hełmy, i szable kirysierskie, wreszcie ruch ustaje, tylko kilkanaście tysięcy trupów pokrywa plac walki, a trupy kirysierów, ułanów i piechurów Rosena dają świadectwo, jak polski żołnierz umie walczyć z potrójną przemocą, i kruki urągają krakaniem dumnym słowom cara Mikołaja: Rzucę Polskę pod moje nogi i pomaszeruję do Paryża!

V.

Wielkie Dembe.

Już kończył się marzec, a wiele zmian nastąpiło. Dybicz, wódz moskiewski, męztwem Polaków widząc zwichnięte rachuby swe zwycięzkie, zaczął rozrzucać wojsko po całym kraju, wszędzie wybuchów powstań się obawiając, a sam zamyślając na lewy brzeg Wisły się przedostać, opuścił szosę z Siedlec do Warszawy, gdzie tylko trzydzieści tysięcy ludzi do strzeżenia dowozów żywności i amunicyi zostawił, i udał się nad brzegi Wisły i Wieprza. Z tyłu zaczęło się podnosić litewskie powstanie, zagrażając odcięciem wojsk od Moskwy; z boku dzielny Dwernicki na czele dwóchtysięcy chwackiej a świeżej powstańczej jazdy bił liczniejsze kilka razy masy raz w raz.

Tymczasem nowo obrany hetman polski, Skrzynecki, wyniesiony za swe męztwo pod Dobrem i Grochowem, zdawał się nie umieć korzystać z położenia. Mając 70,000 wojska dzielnego i już wypróbowanego, wolał pisywać listy do Dybicza i żebrać pomocy u obcych dworów, jak gdyby jedyną i najlepszą dla Polski pomocą nie było natarcie w 70,000 lanc, kos i bagnetów na rozrzucone odłamy wroga!

Zawinił on gorzej od Chłopickiego; ten bawił się w pisaninę póki trąba wojenna nie zabrzmiała, a gdy raz zaczął się bój, to walił, że w Niebie było słychać. Skrzynecki zaś z nieufności w własne siły wolał przerwać walkę, byle tylko mógł pisywać do obcych mocarstw i do wrogów. Chciał on być Janem Czwartym; ale korony nie chciał orężem zdobyć, i własnemu zawdzięczać narodowi, tylko mieć ją z łaski obcych! Jednak wołanie narodu i wojska o walkę było zbyt głośnem, wreszcie musiał się skłonić do uderzenia na korpus zajmujący szosę z Warszawy do Siedlec; ale i to uczynił nie tyle dla zniszczenia wroga, ile raczej żeby pod wrażenieni klęsk wytargować korzystniejsze warunki dla wojska i królestwa, bo o odzyskaniu Litwy i Rusi ani myślał.

Dnia trzydziestego marca panował w koszarach warszawskich czwartego pułku ruch zwykły; nic nie zapowiadało tak bliskiej wyprawy. Na dziedzińcu ćwiczyły się grupy rekrutów świeżych, bo pułk czwarty utraciwszy w ciągłych

zapasach połowę ludzi musiał być świeżym ludem zapełniony, a świeżych garnęło się do pułku nad potrzebę i etat; przyciągała ich sława bohaterów, co gardząc pukaniem, najchętniej szli na bagnety i zawsze rozpraszali wroga.

Kaprale Witczak i Mikołajewski, awansowany świeżo za Grochów, ćwiczyli pod okiem sierżanta Wolskiego rekrutów w robieniu bronią, a po zapale i wprawności, z jaką żołnierze wykonywali komendy, trudnoby było uwierzyć, że ci ludzie miesiąc temu byli zupełnie obcy zawodowi żołnierskiemu.

Major Roślakowski, szef batalionu, który osobiście oglądał z zadowoleniem postępy ich, zakomenderował „spocznij".

— Dobrzeście się poduczyli, reszty ogień douczy was. O północy stanąć na dziedzińcu z pakunkiem do marszu, a teraz do kwater!

Rozkaz majora poruszył żołnierzy radośnie; więc w krótce znajdą sposobność na wrogu okazać swą sztukę! Rozeszli się więc szybko do kwater, a za nimi podążali starsi.

— Przecież doczekaliśmy się wreszcie — rzekł Mikołajewski — nie będziem dłużej gnili w bezczynności.

— Ładne tu dziewczyny, zwłaszcza dla czwartaka, i czas się nie przykrzy, bo człowieka napoją, nakarmią i zabawią — ale lepszą będziem mieli w polu uciechę — odparł Witczak.

— Dobrze kapralu — przemówił Wolski — Jaka ochota, to mi się podoba; wy wszyscy z

powstania świeży żołnierze bijecie się jak lwy, że my stara wiara dobrze musimy się brać w kupę, by się nie dać prześcignąć. Gdyby to jenerałowie byli od początku wszystkich powstańców brali do szeregu, już setki tysięcy byłoby nas, i nieuganialibyśmy się koło Warszawy, tylko gdzie na Litwie, na drodze do Moskwy. Wiecie, że choć stary żołnierz ze mnie i wiele widziałem, ale nie zdarzyło mnie się, żeby świeży powstaniec takich rzeczy dokazywał, jak ułani Dwernickiego, albo ci strzelcy Kurpiowie, albo i rekruty w starych pułkach. Ci kosynierzy, przecie to śmiało jeden idzie na trzech Moskali. Byle tylko komendant był dobry, taki żołnierz wszystkiego dokaże. Dziś pójdziemy nie jak na bitwę, tylko jak na gody, bo wam oczy się tylko śmieją. — A teraz wszystko poszykować, żeby było jutro w porządku!

Jasio konie poił
Kasia wodę brała,
Jaś sobie zaśpiewał
Kasia zapłakała.

Dokąd idziesz Jasiu?
Na wojenkę Kasio,
Na wojnę daleką
Za dziesiątą rzeką.

— Co ty Kuba o swej Kasi śpiewasz — przerwał Mikołajewski — tu bitwa, a jemu miłostki w głowie!

— No to nic nie wadzi — odparł Witczak

— nie bójcie się, moja Kasia siedzi na wsi, a choć tu w Warszawie też mam znajomości, to przecie obowiązek mój znam i nie zaniedbam!

— Byle tylko, bo niejeden tak samo mówił, a potem inaczej robił! Będę cię pilnował — dodał wesołym tonem znikając w korytarzu koszarowym.

O północy było miasto pogrążone w ciemnościach, tylko w pałacu hetmańskim jasno oświeconym wrzał gwar biesiady. W tem wstał od stołu jenerał Skrzynecki i pożegnał zgromadzonych biesiadników, — nikomu w myśli nie postało, co jutro przyniesie.

Przez most Wiślany, grubo słomą potrząśnięty, przechodziły na Pragę *) działa, szwadrony Łubieńskiego, dywizye piesze Giełguda i Małachowskiego, wszystko w głębokiem milczeniu, pałasz ani bagnet nie szczęknął, koń nie zarżał, działa nie turkotały.

Pod W a w r e m stała sześciotysięczna dywizya Geismara, niedobitki z pod Stoczka, zasilone świeżą piechotą Dybicza.

Rybińskiego dywizya piesza nadciągała z północy, by okrążyć Geismara, reszta Polaków czekała nieruchomo pod Grochowem. Nad świtem skroś gęstych tumanów mgły zaczął nadlatywać głuchy huk wystrzałów od strony Geismara.

— To Rybiński bokiem zaszedł Geismarowi

*) Warszawa leży na lewym, Praga na prawym brzegu Wisły.

— zawołał Skrzynecki i rozkazał Kickiemu z brygadą ułanów — uderzyć od frontu na Moskali.

Z bijącem sercem słuchały polskie pułki przebiegu walki, strzały stawały się coraz gęstsze, wreszcie huknęła salwa jedna i druga na tyłach Geismara.

— Teraz mamy Moskali w łapce — rzekł z cicha Wolski do Witczaka — już robi się dzień!

— Naprzód marsz! zabrzmiała komenda.

Ochoczo ruszyły pułki naprzód i w krótce powitał je ogień słaby moskiewski. To dwa bataliony, które nie zdołały umknąć, starały się opierać. Ale Polacy szybko dostali się do obozu, i spotkali z drugiej strony bataliony Rybińskiego. Moskale rzucili broń po krótkim oporze. Dwa bataliony z chorągwiami, cztery działa i kilka kiesonów z amunicyą dostały się zwycięzcom.

Radość ogarnęła Polaków. Jenerał Skrzynecki siedział na koniu, jak wielki posąg, owinięty w płaszcz i twarzą jasną spoglądał na defilujących przed nim w liczbie dwóch tysięcy jeńców, jak kolejno rzucali broń i chorągwie. Szczęście posłużyło znamienicie, zwycięztwo rannе zapowiadało niechybnie świetniejsze jeszcze tryumfy. Jeńcy i działa poszli do Warszawy pod eskortą jazdy i piechoty.

Całe miasto zabrzmiało jednym okrzykiem tryumfu i radości, nieprzyjaciele ściskali się ze łzą przebaczenia w oku, bo wszystkie urazy nikły wobec uroczystości chwili, gdy plon obfity

pierwszego zwycięztwą a nowego hetmana przyniesiono, by go złożyć u stóp Orła Białego.

A tymczasem Rosen o trzy mile dalej pod Wielkiem Dembem w dwadzieścia tysięcy żołnierza przyjąwszy niedobitki Geismara, szykował się na gwałt do boju, zająwszy na froncie wieś Dembe, przez którą przechodziła szosa, opierając prawe skrzydło o las i strumień bagnisty, lewe o grząskie moczary. Kiedy Moskale tak obawiali się porażki, Skrzynecki chciał dać dłuższy wypoczynek wojsku.

— Jenerale prowadź nas, byle na wroga, zmęczenia wcale nie czujemy, dalej na Moskala — wołali czwartacy, chciwi boju, wołały i pułki Rybińskiego, niezadowolone, że samego Geismara tylko zwyciężyły.

Wreszcie przemogło wołanie wojska opieszałość wodza, a postępowano lubo zwolna, wreszcie późno po południu ujrzano Wielkie Dembe. Ale Skrzynecki nigdy nie chciał czy nie umiał dziarsko a hurmem jak Dwernicki uderzyć, więc posłał tylko pułk osmy i czwarty, by zdobyły Dembe, do którego dla bagien tylko po szosie był przystęp, bronione kilkunastu batalionami piechoty i dwudziestu kilku działami. Jeszcze pułki przeznaczone do szturmu nie doszły, kiedy brygada huzarów ruszyła od Dembego do szarży na piechotę.

Pułki dowodzone przez Małachowskiego i Bogusławskiego nie dały się zrazić, lecz rzuciły się naprzód.

— Ognia — zakomenderował Małachowski — huknęła salwa rzęsista a krótka — a potem zabrzmiał okrzyk hurra, i nie czekając jazdy w miejscu, by ją ogniem spędzić, rzuciły się pułki w dym z szaloną fantazyą, uderzając z bagnetem w dłoni na huzarów. Ci zmięszani ogniem i zuchwałością piechoty, na jaką tylko polski pułk czwarty mógł się zdobyć, stracili cały impet, szarży; jedni tłoczyli się nazad, drudzy parli się naprzód, i powstał tłok straszliwy. Ale pułk czwarty rzucił się śmiało w wir i jak dawniej bagnetem piechotne tłumy rozbijał, tak teraz przerzynał się skroś tłumu huzarów. Przerażeni Moskale rozsypali się jedni na bagna, drudzy ku wsi pod dział i piechoty swej skrzydła.

Teraz rozwinął się pułk ósmy z Małachowskim na lewem, pułk czwarty pod Bogusławskim na prawem skrzydle, w środku zajęła miejsce baterya ciężka Turskiego.

W krótce zagrzmiały polskie działa, i niezliczone ale celne pociski zaczęły sypać się na Moskali zajmujących Dembe.

Pułk czwarty bagnem oddzielony od Moskali musiał rozluźnić się i z zarośli rzadko porosłych na bagnie zacząć ogień. Godzina już była późna.

— Skaranie Boże — mruczał Wolski — pukamy i pukamy a na bagnety nie idzie. Hej kapralu, zawołał do Witczaka, weźno na cel tego podporucznika, co się tam kręci!

Witczak kończył właśnie nabijanie broni, zmierzył i wypalił. Podoficer moskiewski legł ciężko ranny czy zabity.

— Wedle rozkazu, panie sierżancie — odpowiedział. Ale drugiego to trudno będzie dostać, bo chowają się juchy po chałupach!

Moskiewski ogień ciągle odpowiadał polskiej fizylierce, ukryci po chatach celowali z poza zasłony i wygodnie, sami nie przedstawiając celu. To też niejeden padł czwartak.

— Wystrzelają nas jeszcze jak kaczki — mruczał Mikołajewski — który nie próżnował, lecz gorliwie strzelał do głów strzelców moskiewskich, lubo z niewielkim skutkiem.

Tymczasem na lewem skrzydle szło nie lepiej. Odparto wprawdzie dwukrotną szarżę jazdy moskiewskiej, ale pozycya moskiewska była bardzo mocna, z boku zajść dla bagien nie było można, więc tylko się rozlegał ciągły trzask ognia karabinowego. Ale dwadzieścia sześć batalionów prócz jazdy stało bezczynnie. Skrzynecki nie chciał przedsięwziąć ataku i zamierzał go odłożyć na jutro.

Bogusławski stał z czwartakami w błocie, zły na bezcelową pukaninę, zmierzch zaczął się zbliżać, kiedy przypadł adjutant Skrzyneckiego.

— Jenerale — masz ognia zaprzestać, i biwakować tam gdzie stoisz.

— Panie Jenerale — wołał Wolski, wołali żołnierze — przecie my nie po to maszerowali,

by Moskali zostawić w spokoju, a sami włazić w błoto!

— Dalej na bagnety, prowadź nas jenerale — brzmiały głosy oficerów i żołnierzy.

Bogusławski zaczął się wahać, rzucił okiem na bagno, czwartaków i Moskali.

— Dobrze — zawołał — czy my to kaczki, żeby w błocie nocować, kiedy Moskaliska siedzą w Dembem jak u Pana Boga za piecem. Dalej wiara zabrać im kwatery!

— Naprzód, niech żyje Polska! zagrzmiały okrzyki i biegiem ruszyli żołnierze przez bagno na Moskali. Co krok z trudnością dobywali się z bagna w gorącym ogniu, ale to ich ochoty nie ostudziło. Z okien i strzelnic wyłamanych w chałupach sypał się rzęsisty ogień; kilkunastu legło, ale reszta wydobyła się na twardy grunt, do wsi.

— Dalej na bagnety! huknął Bogusławski, a pułk czwarty rzucił się biegiem do chat plutonami, wybijając kolbą drzwi i okna. Kapral Witczak skoczył przez okno, kilkunastu rzuciło się na niego, dym przesłonił izbę; on chwycił karabin za lufę, zakręcił strasznego młyńca, kilku wnet było na ziemi pod zamachem potężnym, a wiara wpadła wywalonemi drzwiami w tej chwili i wybito resztę. Jednem tchem zajęto wieś, Moskale kłuci bagnetem i waleni kolbą cofnęli się w nieładzie uciekając. Skrzynecki ruszył teraz jazdę. Szostkami walą się przez wieś konni strzelcy i ułani wymiatając ulicę do czy-

sta, a moskiewska jazda szykuje się na gwałt za wsią.

— Dalej zamną — krzyczy Smajde, trąbki grają a ułani z lancami zniżonemi, konni strzelcy z płotem szabli wyniesionych, rzucają się na jazdę wroga i rozbijają ją w puch na marynatę. Teraz zaczyna się pogoń.

— Hola bratku, nie ujdziesz mi — woła jakiś barczysty ułan na jenerała moskiewskiego; jednym poskokiem jest przy nim i łowi go za kołnierz. A tu pułk ósmy uderza z boku, czwarty rusza na prost; Moskale już uciekają bez powstrzymania, tylko kilka dział daje ognia.

— Chłopcy dalej na działa — zawołał Wolski, i rzucił się między kanonierów. Sztychem zsadził z konia szefa bateryi, kanonier ciął go pałaszem w głowę, ale kaszkiet skórzany i niezgrabność Moskala osłabiły cięcie: tylko trochę sierżantowi zamroczyło się w głowie. Innych kanonierów rozniesiono na bagnetach — działa stały się zdobyczą polską.

Nazajutrz pierwszego kwietnia zamiast korzystać z czasu, wyruszył Skrzynecki dopiero o ósmej rano z pułkiem ułanów w straży przedniej. Piechota postępująca z tyłu nuciła wesołe pieśni, duch był zwycięztwami świeżemi podniesiony, jak nigdy w tej wojnie.

Tymczasem Rosen trwożny rzucał na pastwę pogoni polskiej, by ją choć na chwilę powstrzymać, batalion po batalionie w rzedziznach leśnych. Ale trwoga ogarnęła żołnierzy, wielu wo-

łało w przerażeniu, że tylko Matka Boska mogła dać Polakom taką siłę i szybkość. Bataliony po batalionach rzucały broń, czworoboki pękały od samego szelestu chorągiewek. Litwini przypomnieli sobie, że są Polakami. Dwa plutony stanęły w lesie przed Janowem, za nimi Litwini, z wyjątkiem oficerów. Byli to ci sami co przed Grochowską bitwą tak tęsknie rozpamiętywali swój los; w szeregach ich widać było liczne szczerby. Kula polska zabiła owego młodego zucha, co przykrzył sobie niewolę moskiewską; taki to smutny los Polaków, co obcej sprawie zmuszeni służyć. Często śmierć znajdowali z ręki braci, walcząc za wolność.

Teraz stali oni w czworobok uformowani, trzymani tylko przez oficera w karbach; tak wielką jest hańba niewoli i kajdan, że nawet w tej chwili nie pomyśleli bronią zrzucić reszty kajdan. Ułan jeden wybiegłszy daleko naprzód przygalopował przed nich.

— Rzucić broń, krzyknął.

Na głos ten bratni zadrgała w nich dusza, bez oporu rzucili broń, a oficer Moskal porzucił szpadę.

— My też Polacy, z zabranego kraju — my z wami!

Nawet chłopi biorą jeńców wszędzie, a Moskale rodowici, przejęci zabobonnem drzeniem, rzucają broń i idą dobrowolnie w niewolę. Po drodze widać było smutne ślady przejścia Moskali, wsie opustoszałe, domy popalone, tu

i owdzie na belkach zwęglonego domu kołysał się trup. Niedziw, przeszło miesiąc zajmowali Moskale te strony.

Straszny był to widok dla żołnierzy; jeszcze wiosna nie zakryła obydwych śladów spustoszenia, odrażająco sterczały dowody barbarzyństwa carskich służalców, carskich najezdników. Nad Siedlcem zatrzymała się pogoń, a Rosen schronił się do Siedlec, szląc posła po pośle o pomoc do Dybicza. Dwa tysiące zabitych, dziesięć tysięcy jeńców, dwanaście dział, mnóstwo kiesonów i furgonów zostawił Rosen w rękach Polaków, którzy utracili tylko 450 ludzi w zabitych i rannych. Jeńcy litewscy wstąpili wszyscy do szeregów, pułk czwarty zasilił się także nimi.

Pod Latowiczem zastał wojsko polskie czwarty kwiecień, dzień pierwszy wielkanocny. Obchód Zmartwychwstania Pańskiego łączył się z Zmartwychwstaniem kraju, z świetnemi tryumfami, które gdyby Skrzynecki był należycie korzystał z czasu, byłyby jeszcze świetniejsze.

Warszawa, wrząca od radości i uniesienia, niezapomniała o tych, ktorym tak piękne dni zawdzięczała. Trzysta wozów ze święconem posłano w pole, by żołnierzowi nie brakło niczego przy podwójnej uroczystości. Po obozowem nabożeństwie rozłożyli się żołnierze wygodnie po kwaterach i biwaku, a miło już grzejące promienie słońca kwietniowego im jaśniały.

Na miejscu, gdzie leżała druga kompania pierwszego batalionu czwartego pułku, panował

ruch wesoły; spożywano święcone warszawskie, wiarusy ściskali się, jak bracia dzieląc się jajkiem; tylu legło już, kto wie, który przyszłego roku doczeka! Wreszcie pokrzepiwszy się trochę, siedli kołem i zakurzyli lulki.

— Piękne czasy — zaczął sierżant Wolski — takich dni dawno nasz kraj nie pamięta. Jak naród wybija się na wolność i wszystkie siły zjednoczy w tym celu, to na nic choć najcięższe kajdany. Jam stary, pamiętam nasze boje w Hiszpanii. Napoleon był człowiek największy, wódz i wojownik, jednak Hiszpanii nie mógł podbić, jak innych krajów, bo lud hiszpański potykał i bronił się wściekle. Gdy szturmowaliśmy Saragosę, co żyło w mieście, biło się, dzieci, kobiety, starce nawet; mnie samego o włos nie zastrzeliła baba. Tam dom po domu trzeba było zdobywać, Francuzi, wojacy osiwiali w bojach nie mogli sobie dać rady, tylko nasze polskie pułki szły naprzód, jak mur, nieuważając czy ziemia pod nogami się rozstępuje, czy z góry sypią się cegły, mur, olej wrzący i grad kul!

— Tak — odparł Witczak, za męztwo pod Dembem na podoficera posunięty, puszczając z lulki dym — za Napoleona bili się dzielnie, i rozdrapali Saragossę kamień po kamieniu, a swoje miasta, gdy Polskę rozbierali, to bez boju wydali wrogom.

— To już tak było z nami — rzekł Mikołajewski — że każdy Polak osobno to czysty

lew; tylko wtedy nie było żadnej jedności, ani ostrej komendy, więc niczego dokazać nie mogli, a pod Napoleonem słuchać musieli i też cudów dokazywali. Byle nad Polakami była dobra komenda, to niema rzeczy, któryby nie osięgli!

— Sam Napoleon to powiadał — prawił dalej Wolski — że Polacy wiele obiecują co zda się niepodobnem do wiary, ale jeszcze więcej dokonają. Słyszeliście pewnie już, jak naszych ułanów jeden słaby szwadron pod Kozietulskim rotmistrzem i Niegolewskim zdobył wąwóz broniony przez kilkanaście batalionów i cztery baterye pod Samosierą, którego ani francuzka piechota nie mogła zdobyć. Byle było dobre dowództwo, to teraz jeszcze trudniejszych rzeczy nasz wiarus dokazać może, bo idzie o kraj. — No ale nabiję lulkę — czekajcie — mówił nakładając krótką lulkę wakształem z kapciucha skórzanego, wiszącego na guziku, — przypominają mi się inne przygody z Hiszpanii. Otóż — mówił zapaliwszy lulkę i puściwszy z zadowoleniem ogromny kłąb dymu, — my święcim Wielkanoc na wolnej polskiej ziemi teraz, w Hiszpanii pamiętam ja inne święto. Była to właśnie Wilia Bożego Narodzenia. Posłano nas pięciu na patrol, pół mili od obozu, z rozkazem nie wracać, póki nie będzie wiadomości. Nic podejrzanego nie zoczyliśmy, więc postanowiliśm zostać na noc we wsi leżącej blisko drogi. Idziemy do wsi, a wieś pusta — zresztą było tam tylko parę chałup daleko nędzniejszych, niż u nas, bo u nas

to jest porządek, a tam to wszędzie niechlujstwo. Ostróżnie przepatrzyliśmy otoczenie wsi, nigdzie nie było miejsca do zasadzki, do obozu droga dosyć odkryta; we wsi żywego ducha, bo wszyscy wyruszyli na powstanie, nic podejrzanego nie było. W ostatniej chacie zdybaliśmy babę, istną czarownicę, z dzieckiem na ręku. warzącą kota w garnku, taki był wtenczas w Hiszpanii głód miejscami. Wiecie, że jak człowiek głodny, o co w wojnie nie trudno, to je co dostanie; w Hiszpanii przeklętej trudno było co dostać, więc ucieszyliśmy się i dalej do ogniska. Jeden umiał trochę po hiszpańsku, więc babę zagadnął:

— Jest kto we wsi?

— Nie ma, odparła ze spojrzeniem, które mówiło, bodajby byli, obłupili was ze skóry. Pytał ją jeszcze, ale niczego się nie dowiedział. Wreszcie garnek odstawiła od ognia.

— No dawaj, my też głodni!

Przelotnie rzuciła na nas zjadliwem okiem, ale nic nie mówiąc pokrajała kota, dała jeść i sama wzięła kawałek. Mnie zapraszali — ale rzuciłem okiem ku niebu przez okno, gwiazda błyszczała — przypomniało mi się, że to Wilia, i odmówiłem mimo zaproszeń samej baby. Oni śmiali się ze mnie. W tem jeden dał dziecku kawałek. Dziecko chwyciło chciwie, baba mu chciała z ręki wytrącić, lecz było zapóźno. Wściekłość zarysowała się na jej twarzy, a my zrozumieliśmy wszystko.

— Otruci — ryknął kolega — uderzył pięścią czarownicę — a ja odrętwiałem. Pięć minut później sześć trupów leżało w chacie. Tak to bronili się Hiszpanie, że nawet przed tyle nieludzkiemi nie wzdrygali się postępkami.

Milczenie zapanowało na chwilę, tylko dymek błękitny płynął z lulek ku niebu; dopiero przerwał Witczak, odzywając się do Litwina wziętego pod Janowem, który wstąpił do szeregów. Był to ten sam schorzały żołnierz, który pod Grochowem już powziął plan przejścia do braci.

— Powiedz no bracie, czemu to Moskale nawet broń rzucili pod Dembem? Że wy tak robiliście, to nic dziwnego, boście nasi bracia; ale Moskale to bitny naród, choć jak z naszymi się zetrą, zostaną pobici, jednak zawsze twardo się bronią.

— Powiem Wam — odparł Litwin — wiecie dobrze, że samym Moskalom źle jest pod carem, a ja na własne oczy napatrzyłem się strasznego ucisku, bo rzucali mnie od Bugu do Wołgi i Uralu. Lud ciemny, car niechce; żeby był oświecony, bo zarazby go zwalił, nadużyć winę przypisuje samym urzędnikom, a carowi ślepo wierzy; żołnierz idzie na bitwę karnie i posłusznie, bo musi. Nam włościanom to już najgorzej pod moskiewskim rządem. Dawniej za polskich czasów, choć nie było nam tak, jakby być powinno, były dla nas prawa i jakaś obrona od złego pana; za Kościuszki powiadali rodzice, że było dobrze, tylko prędko ten czas

przeminął; teraz gorzej mamy niż bydlęta; zdzierają z nas ciężkie podatki, trzeba żywić i znosić żołnierza przechodniego, co wymyśla i niszczy, bo nigdy nie płacą za to. Nie wolno wcale skarzyć się na pana, a co najgorsza, z nas prawie samych biorą rekruta. My mieliśmy w naszej wsi blisko Grodna dobrego pana, chciał nam pańszczyznę darować poczęści, a poczęści na czynsz zamienić, i opiekował się nami, ale rząd na to nie pozwolił, poszło doniesienie, żandarmi jeździli ciągle do wsi pod pozorem, że lud burzy — i grubo musiał się dziedzic opłacić! Tak to oni nietylko nas wszystkich razem gnębią, ale chcą jeszcze, by jedni drugich gnębili, bo boją się, żeby około nich krucho nie było, gdybyśmy razem się wzięli. Przecie na złodzieju czapka gore.

Oj smutno tam w kraju zabranym! Cóż dopiero, gdy biorą rekruta; wy nie wiecie, co to znaczy służyć w moskiewskiem wojsku! Chciałem się właśnie żenić, kiedy przyszła branka. Co mogło, to pouciekało i pokryło się, skoro Moskale przyszli i wieś kozakami otoczyli, żeby rekruta wybierać. Ja nie byłem dosyć ostróżny, zajrzałem nocą do wsi, i schwytali mnie. Płacz ogromny w całej wsi powstał, dostali nas kilku, powiązali powrozami i pędzili do wojska na 25 lat. We wsi dali starzy księdzu na mszą i dzwony, jak po umarłych, bo już nigdy nie spodziewali się nas oglądać. A kiedy stanęliśmy w Bobrujsku, dali nam mundury, kazali przysięgać,

i zaczęło się ciężkie życie. Strawa nędzna; bo od kaprala do jenerała każdy starszy okrada żołnierza; za lada przewinienie pałki, po nich niejeden idzie do lazaretu, a kto tam się dostanie, ten żywy nie wyjdzie, gdyż lekarstw żadnych nie dawają, a im więcej pogrzebów, tem więcej mogą ukraść starsi lazaretowi. Tak tułałem się dziesięć lat po różnych pułkach, kilka razy dostałem pałki, zdrowie miałem żelazne — dziś już jestem zmarnowany. Więc nie dziw, że z tego piekła każdy żołnierz tylko tęskni do domu, a potem traci nadzieję zobaczenia swoich, i tylko śmierci pragnie.

Widziałem jeńców waszych w Warszawie, Moskali, ci cieszyli się, iż są w niewoli, lepiej im sto razy niż w wojsku, bo nikt ich nie dręczy, nikt ich nie okrada.

Więc nie dziw, że po klęsce żołnierze rzucili broń, bo oficerowie przestraszeni nie mogli ich utrzymać — przecie jak do bitwy idzie, zawsze upoją żołnierzy wódką, by szli naprzód i nie wahali się, tak mało im ufają.

— Ja sam — rzekł Mikołajewski — widziałem, że jeńcom naszym tu dobrze. Byli jeńcy nad granicą pruską, pracowali u dziedzica polskiego, a choć ich było bardzo wielu, nikt ich nie strzegł. Tak pytam ich: Czemu nie uciekniecie, kiedy was nie pilnują? A oni powiadają: Po co mamy uciekać? w wojsku gorsza niż tu niewola, dają strawę gorszą niż psu, tam pałki dostajemy — tu dobrze, więc chcemy zostać.

— Teraz — zabrał głos Litwin — bracia moi na Litwie, powstanie zaczęli; ja tu między rodakami w polu jem święcone, takiego dnia nie miałem od dziesięciu lat. Siły moje zmarnowali Moskale, ale mam ich jeszcze dosyć, by pomścić się krzywd Ojczyzny i swoich. Jeszcze ruszym na Litwę — i zobaczę może rodziców, jeżeli żyją.

— Bracia — zawołał Witczak — myśmy tu zebrani z nad Warty, Niemna i Wisły, jeszcze wszyscy się zbieramy z nad tych rzek i będziemy razem, a polski Orzeł wnet poleci od Wisły do Dniepru.

VI

Ostrołęka.

Przez kwiecień i maj było powstanie w pełni rozwoju. Lubo ludzie jeszcze po wielu miejscach dobrze nie wiedzieli, za co mają walczyć, uczuciem narodowem porwani, słysząc że wojsko polskie zwycięża Moskali, sami zaczęli tu i owdzie brać się do broni. Na Litwie zwłaszcza wrzało powstanie, zagrażając tyłom wojska moskiewskiego; ale niestety rozdwojone i rozsypane na tysiąc oddziałków, których dowódzcy jeden z drugim łączyć się i słuchać nie chcieli nikogo, nie wiele mogło zdziałać.

Nowe zwycięztwo dnia 10 kwietnia pod Igaganiami nad trzy razy liczniejszym wrogiem odniesione, nowego blasku dodało pułkowi czwartemu. Dybicz wreszcie powrócił z nad Wisły na szosę siedlecką, by uniknąć zupełnego po-

gromu; tylko Skrzynecki mimo wołania wojska i narodu, mimo wieści o świeżem Dwernickiego pod Boremlem nad potrójną siłą odniesionem zwycięztwie, nie chciał stoczyć bitwy.

Wreszcie jenerał Prądzyński, ten sam, który pod Iganiami pobił Moskali, podał plan, żeby przeciw głównej armii Dybicza zostawić dwie dywizye, a z główną siłą ruszyć na północ ku Ostrołęce, gdzie stały świeżo przybyłe gwardye moskiewskie, najlepszy żołnierz carski, bo po rozbiciu gwardyi całe wojsko moskiewskie się rozsypało. Skrzynecki naglony tak zewsząd, od sejmu, narodu i wojska, postanowił wyruszyć. Ale złą przepowiednią były dla wyprawy głuche wieści o przejściu Dwernickiego do Austryi; i śród jasnego nieba zaczęły się ukazywać chmury.

W połowie maja zgromadziły się cztery dywizye piesze i dwie konne koło Serocka, kilka mil na północ Warszawy i miano wyruszyć na Moskala. Radość panowała w obozie, bo żołnierzom znużonym długą bezczynnością tęskno było do walki i nowych zwycięztw. Ponieważ nieprzyjaciel był daleko, więc dzień przed wymarszem z pod Serocka rozłożono pułki po wsiach a że nikt nie wątpił o zwycięzeniu sił moskiewskich, słabszych liczbą, oddawano się gwarnej zabawie w sztabie i obozie.

Batalion pierwszy pułku czwartego trafił właśnie na wesele wiejskie. Tańczyli raźni parobcy a ujrzawszy wojaków zaprosili ich do

zabawy. Czwartacy nie dali się prosić, wnet zagrzmiał ochoczy mazur, izba drżała od tańczących, a bawiono się prócz tego na dworze, bo miejsca było mało na tyle gości, i wkrótce całe wesele przeniosło się przed chatę, koło lipy starej. Tam na ławie zasiedli starzy, gwarząc przy miodzie.

— Żołnierze — mówił stary gospodarz, idziecie walczyć za Polskę, i jabym z wami ruszył, gdyby nie mój wiek.

Usłyszeli to weselnicy.

— To my ruszym — zawołali — wam wstydu nie zrobim, bo wszyscyśmy tęgie i dobre chłopy.

— Karabinów dla was nie ma, z czem pójdziecie? odparł Wolski.

— Kosy weźmiem — mamy już naszykowane

— Tak to mi się podoba — choć wy niewprawni, ale my was nauczym. I nasza wiara z pułku czwartego to młody żołnierz, bo starzy po większej części wyginęli w ciągłych bitwach, a jednak biją się dzielnie.

Przestano tańczyć.

— Młoda panna zaczęła coś rozmawiać z nowożeńcem, w tem łzy puściły jej się z oczu jak groch.

— Cóż to, zawołał Witczak, w dzień ślubu płacz.

— Jakże nie mam płakać! Mój chce mnie biedną sierotę zostawić i ruszyć z wami.

— Prawda to?

— Prawda! Przecie jeżeli drudzy idą bić się za wiarę i Ojczyznę, toby mi wstyd było, jak baba za piecem siedzieć, żal mi niebogiej, ale kraj pierwszy.

— Cóż to — przerwał Wolski — dobry z ciebie chłop, bodaj wszyscy tacy byli, ależ uważaj, żonę tak po ślubie zaraz zostawiać, cóż ona pocznie! Dosyć innych wyruszy.

— Młody ja i silny, nigdy żołnierza nie zanadto; moja nieboga nie zginie, ojcowie będą o nią mieli staranie. Pan Bóg o niej nie zapomni; a ja przecie nie będę używał, kiedy bracia leją krew za wolność. Jak idzie za wiarę i Ojczyznę, to już takie prawo Boże, że każdy dobry Polak ruszyć powinien, który tylko może broń trzymać w garści!

Próbowano jeszcze go odmawiać, ale niewzruszoną była jego wola. Trudno poruszyć lud, ale gdy go się przekona i poruszy, a rozbudzi tę iskrę świętego zapału, co w każdej piersi skrycie tleje, to wiernie i niezachwianie stoi do końca. Tak widok polskich żołnierzy rozżarzył i tu zapał w wieśniakach, którzy przed tem choć kraj kochali, ale do boju się nie ruszyli, bo nikt ich dosyć nie rozbudził.

Siwemu Wolskiemu stanęły łzy w oczach; ów szlachcic, który w długich bojach pozbył się przesądów i w każdym Polaku widział brata, uściskał chłopa serdecznie.

Bracie, jak twoja wola, kiedy dla kraju, żonę porzucasz, niech ci Bóg błogosławi, ja dłużej cię odmawiać nie mogę.

Kułakami ocierali łzy wiarusy na ten widok Panna młoda płakała rzewnie.

— Nie płacz — mówił Wolski do niej, twój idzie walczyć za kraj, a dla takiej rzeczy nie godzi się płakać, że cię opuszcza. Wróci on jeszcze szczęśliwie, jak Polskę zdobędziemy, z krzyżem albo awansem i będziecie dopiero szczęśliwi.

— Jeszcze koni zdobędzie moskiewskich, przydadzą wam się napotem — dodał Witczak weselej.

— Niejedno my zwycięztwo odnieśli, a przecie wrócilim — rzekł Mikołajewski — to będzie wszystko dobrze!

— Niech żyje Polska, zawołali wiarusy, i wychylili ochoczo kubki, a zwycięztwo zdawało im się napewno uśmiechać!

W tem ukazał się człowiek pochylony nieco mocno stary, w obszarpanym ułańskim mundurze, jak upiór śród wesołego zgromadzenia.

— Macioszek! — zawołał Witczak zdumiony.

— Helf Gota, wam tu dobrze i wesoło, nam źle i smutno.

— Cóż to — odezwały się liczne głosy, a radość się nagle urwała.

— Dwernicki musiał w Austryi złożyć broń.

— Słyszeliśmy pogłoskę, to nie do wiary!

— Ano poszliśmy — ale dajcie czem gardło odwilżyć bom zmarnowany, tu podano mu kieliszek, który wychylił.

Wiecie, że biliśmy tęgo Moskali Zaszliśmy daleko na Wołyń, a tu Skrzynecki nam nikogo na pomoc nie posłał; tam ludzie od Moskali obałamuceni, nikt ich nie nauczał, zaco mają się bić, więc mało kto łączył się z nami. Wroga było cztery razy tyle, musieliśmy się z nim zwijać, bo posiłków nie było, a w jednej okolicy, gdzie był lud trochę oświeceńszy, to mówili nam ze łzami w oczach, że widzą walkę i chcieliby się bić, ale powiadają zostańcie dłużej co nam dacie czas do uformowania się. A tu czasu nie było. Dwernicki nie chciał iść głęboko w kraj, niektórzy mówili, że lepiej byłby zrobił, bo byliby ludzie się ośmielili do powstania. Więc szliśmy blizko austryackiej granicy. Pod Boremlem spotkaliśmy się z Moskalami, trzech szło na jednego, ale nie daliśmy się! O Boże daj Boże, żebyście widzieli, jak nasze ułany szły do ataku z lancami spuszczonemi, wszystko powstańcy z Królestwa, chorągiewki czerwono białe wiewały. Sam jenerał jechał na przedzie, a ja stary konował waliłem ostro. Jak nic rozbiliśmy dragonów, Moskale tedy do nas z dział, my na działa, pod Dwernickiem konia zabito, ale stary nasz wachmistrz Słoma zeskoczył i podał swego, sam zaś z gołą szablę rzucił się naprzód, jak lew. Przypadną huzary my na nich, odrzuciliśmy ich, ale Słomę rozerwała kula. Oj był to

tęgi wiarus z pod Kościuszki jeszcze, takich mało. Po bitwie pochowaliśmy naszych, ksiądz Pułaski, dzielny kapelan, co nieraz jechał obok nas w ogień, pożegnał ich od wojaków. Ale choć było zwycięztwo, wielu z nas legło, konie od znużenia zaczęły padać, i żeby wypocząć oparł się jenerał o granicę. Aż tu Moskale granicę zgwałcili, zaszli nas z tyłu; a Dwernicki widząc, że poczwórna siła go otacza przeszedł do Galicyi, i dwa tysiące naszych rzuciło broń. Płakaliśmy z żalu i wściekłości na taki koniec. Kto mógł przedarł się z Galicyi do Królestwa napowrót, i wielu nas wróciło, ale Dwernickiego zatrzymali, a takiego jenerała, jak on nie ma w wojsku.

— Smutny koniec — rzekł Wolski — gdyby Dwernicki był się probował przerznąć, broń i honorby ocalały, chociażby połowa była!

— To Skrzynecki — odparł Macioszek — pewnie mu zazdrościł sławy i nie podesłał mu więcej ludzi, aby się Dwernicki czasem nie wzmógł. Zawiść to zgubiła.

— Trudno — zakończył Witczak — szkoda ogromna, ale póki polskiego żołnierza stanie nie ma o czem rozpaczać. Pomścimy jeszcze Dwernickiego!

Ale smutku chmura zasępiła czoło wiarusów, pierwszy raz obnażały się błędy, zawiść, brak wiary w powstanie; przeczucie smutne ogarnęło żołnierzy.

A jednocześnie pił jenerał Kicki na powodzenie oręża polskiego, i obiecywał żonie Skrzy-

neckiego, jako plon sześć siwków do karety, na jakich huzarzy gwardyjscy jeździli! Nie przewidywał, że sam nie ujrzy Warszawy, ani młodej żony, tylko spocznie na cmentarzu Ostrołęckim.

Dnia 16 maja nastąpiło pierwsze spotkanie obu wojsk. Pułk ułanów w awangardzie idący, spotkał pod Długosiodłem bataliou strzelców gwardyjskich. Major Krajewski wyjechał naprzód i zaczął ułanów szykować do szarży. W tem zaszumiała salwa, ale że daleko było, więc szkody nie zrządziła. Dym opadł, i ujrzano strzelców schronionych blisko wsi, od frontu zasłaniały ich wysokie chróstowe opłotki. Ani myśli, by je przeszkoczyć. Major chwilkę się zadumał.

— Rozbierzem płot! panie majorze — odezwał się jakiś szeregowiec.

Major obejrzał się, i skinął na szwadron i galopem przybliżono się do przeszkody. Strzelcy zaczęli teraz celny ogień, niejeden ułan runął z konia.

— Hola wiara, co drugi z konia, i rozebrać płot!

Duchem skoczyli ułani z koni i biegiem rzuciwszy się skroś ognia ku opłotkom zaczęli w gorącym ogniu wyłamywać chróst i wyciągać kły. Wnet płot znikł, choć też niejeden ułan leżał zabity.

— Na koń! i szarża! — zabrzmiała komenda.

Z szybkością błyskawicy skoczyli spiesznie na koń i ruszyli z kopyta na gwardzistów. Od jednego razu rozmieśli ich na kopytach i lancach, mało który strzelec ocalał. Tak polskiej jazdy zatrzymać nic nie może, ani wąwozy hiszpańskie, ani działa, ani płoty, wszędzie dali sobie ułani radę.

Cztery dywizye gwardyjskie, oddzielone hufcami polskiemi od Dybicza i naparte na bagna Narwi, były narażone na bój bez odwrotu, a raczej na klęskę, bo Polacy umiejący zwyciężać jeden trzech Moskali, byli tutaj trzech na dwóch wrogów; ale Skrzynecki obawiał się stoczyć bitwę, i śmiał się później zastawiać tem, że żołnierz był zmęczony! Oszczerstwo żołnierza dzielnego, który wobec kilkakrotnej nawet przemocy nigdy się nie mięszał. Żołnierze przeklinali wodza, który ich wlókł w prawo i lewo, by uniknąć bitwy, o którą cały naród się dopominał, a wódz tak wolno czołgał się, że gwardye uszły, i połączyły się z Dybiczem, który dowiedziawszy się późno o wyprawie polskiej z całem wojskiem na odsiecz gwardyom pospieszył; by choć jej szczątki w razie klęski ocalić. Najpiękniejsze okazye zwycięztwa porzucił Skrzynecki, bo nie ufał w ducha żołnierza, bo wolał piórem niż orężem wojować, a żołnierz z bolem i gniewem w sercu musiał wlec się do Warszawy.

Rano 26 maja stanął przed miasteczkiem Ostrołęką pułk czwarty i weterani pod Bogusławskim; przed nimi stała jazda i jedna dywizya

piesza, za rzeką zaś Narwią stały dwie dywizye piesze i jedna konna.

Rychło rano wstali żołnierze, by stanąć w szyku.

— Źle — rzekł Mikołajewski — ciągną nas tam i nazad niby do bitwy, a bitwy nie ma, tylko nas zwodzą!

— Ano — odparł Witczak — nie wiem, jak teraz u góry idzie? Chłopicki był przynajmniej tęgi wojak, pod nim bylibyśmy już dawno rozbili Moskwę. Póki wrogów nie było w kraju, marudził i pisał listy, bo nie wierzył, że damy radę Moskalom, ale jak raz przyszli do nas, to i przekonał się, że duch w wojsku dobry, to bił się dzielnie. A tu Skrzynecki nie wie co ma robić Pod Iganiami nie przyszedł nam w pomoc, choć miał przyjść; dopiero zjawił sie po bitwie, gdy sobie daliśmy radę bez niego. Już z niego szczery żołnierz nie jest, zamiast na koniu, rozwala się w karecie, lubi wygody, w sztabie ma samych paniczów, co nie wiedzą nieraz drogi, gdy ich posłać z rozkazem; przecie ja nieuczony musiałem jednemu drogę raz wskazać, gdzie leży Siennica.

— Byłem wczoraj w kwaterze głównej — wtrącił Wolski — widziałem, jak to tam idzie. Meldowałem, że Moskali idzie kupa, pewnie całe wojsko; myślę, będą się do bitwy szykowali, a tu patrzę, połowa kiesonów z nabojami odjeżdża ku Warszawie. Pytam znajomego wachmistrza, dokąd? Do Różana, o cztery mile ztąd! W sztabie tylko

kucharze się krzątają, Skrzynecki położył się spać. Wracam, aż tu połowa wojska na tamtej, połowa na tej stronie Narwi; idę przez most, patrzę, krzątają się na nim, łatają go, nie można przejść, idę drugim mostem kilku saperów wraca. Zkąd, pytam, bo znam kaprala, razem walczyliśmy w Listopadzie; z Ostrołęki. Co robiliście? Znosiliśmy barykady i nasypy, które po Moskalach zostały. Przechodzę przez miasto, stój, aż tu kilkunastu żołnierzy i robią barykadę! No pomyślałem, ładny porządek musi być, już Skrzynecki nie będzie w tem, jak Moskali odeprzemy.

Oj prawda to prawda — wtrącił Litwin — przecie dobry wódz, gdy przemówi do żołnierza, że mu się na sercu ciepło zrobi, gotów iść na armaty. A nasz to wydał odezwę taką, że jej dobrze rozumieć nie można, jeno tyle zrozumiałem, że chce nam piękne męczeństwo i honorowy grób przygotować, jakby to Moskale dosyć nas nie namęczyli, a o zwycięztwie, o oswobodzeniu Polski, ani słowa.

— Dwernicki był inny, tegoby potrzeba, ale zawiść go zgubiła!

— No ci ho — teraz czas wystąpić pod broń — zawołał Wolski.

Sześć batalionów stanęło pod bronią. Wnet ozwał się łoskot dalekiej kanonady, a po jakimś czasie ujrzano jazdę nie mogącą w lesie walczyć. Jazda przeszła Ostrołękę i udała się na drugi brzeg Narwi. Dywizya piesza Kamińskiego za-

częła się także ukazywać, widocznie Dybicz postępował z całem wojskiem. Wkrótce Moskale otoczyli pułki stojące pod Ostrołęką. Kamińskiego piechota cofnęła się przez odstępy batalionów Bogusławskiego, a gdy godzina dziesiąta biła na ratuszu Ostrołęki, rozpłomieniła się walka czwartaków z Moskalami. Gradem kul zasypywali grenadyerzy nieliczne polskie bataliony, dokoła rozwinięte baterye moskiewskie biły granatami i kulami, zdala szykowały się do szarży szwadrony Nostitza, a z tyłu wiał dym i ogień płonącej Ostrołęki, zapalonej granatami moskiewskiemi. Gęsty trup padał z obu stron, bo i Polacy dzielnie odpowiadali. W tem ogień moskiewski ucichł; od prawego skrzydła przed działa wysunęła się jazda.

— Formuj czworobok — zakomenderował Bogusławski.

Tętent jazdy zmięszał się z grzechotem salwy czwartaków, zmięszały się szwadrony i cofnęły w nieładzie, by ponowić szarżę. Ale Bogusławski poznał, że z garstką bez odwrotu nie podobna się utrzymać i nakazał odwrót. Pierwszy batalion wkroczył pierwszy do Ostrołęki. Trzeszczały krokwie dachów, płomień buchał ze strzytów, gęsty i gryzący dym dusił dzielnych czwartaków. Na domiar kolumna moskiewska ukazała się naprzeciw.

— Śmierć lub zwycięztwo, innego wyboru nie ma!

I rzucili się na gęste kolumny, z najeżonym bagnetem skroś dymu i ognia.

— Niech żyje Polska — krzyknął Litwin, — dalej bracia, i z wściekłością rozpaczną przebili się przez ulicę na miejsce wolniejsze do rynku. Ale z boku ukazała się nowa kolumna moskiewska, i jednoczesnie buchnęła salwa, a kilkudziesięciu było na ziemi. Litwin ów, który spodziewał się ujrzeć rodzinę, teraz leży obok innych trupów, polskich i moskiewskich, a w ręku ściska kurczowo karabin; szczęśliwy, bo poległ za Ojczyznę. Wreszcie przetłoczono się do mostu pierwszego.

— Cóż to, most zdjęty, dalej na lewo do tratwowego!

Na lewo i prawo, z przodu i z tyłu, tłoczyły się kolumny moskiewskie. Bez czucia i pamięci rozgorączkowani walką, ryją sobie drogę bagnetem i kolbą, Polacy obojętni na kule i kartacze smagające w zbity tłum. Miejsca brak do robienia bronią, walka zaczyna się na pięście.

Doszli wreszcie do mostu, na most walą się Polacy pomięszani z Moskalami. Ogień kartaczowy zdwaja się, z wysokiego brzegu Narwi rozwinięte baterye zaczynają coraz żywiej dawać ognia, a na moście bez poręczy wre walka na pięście. Witczak potężną siłą obdarzony, strącony na brzeg mostu spychał do Narwi wrogów, aż siłacz grenadyer chwycił go w pół. Jako dwaj niedźwiedzie w puszczy, tak zczapili się obaj; grenadyer chciał zdusić Witczaka, chwycił

go, że zaczął się mienić na twarzy. Witczak żelazną pięścią uderzył go w twarz, grenadyer potoczył się, krew mu buchła, rozłączył żelazny uścisk, ale tłum strącił obu w nurty Narwi.

Witczak zanurzył się na chwilę, wkrótce wypłynął, i ostrożnie wykręcając między tonącymi, walczącymi jeszcze w chwili zgonu ze sobą, dostał się na brzeg. Pułk czwarty przedarł się z niezmiernemi stratami na prawy brzeg, ale w trop za nim przebyły most cztery grenadyerskie pułki Mandersterna.

Nagle na tyłach natłoku ozwała się krótka salwa zwrócona na Moskali a jednocześnie rzuciło się kilkunastu czwartaków z bagnetem naprzód. Był to Mikołajewski z garścią odciętą w chwili, gdy tłoczono się do mostu. Rzucili się do domu, i tam zatarli się, póki nawał nie przeminął. Teraz widząc, że grenadyery już na moście, z tyłu reszta Moskali dopiero nadchodzi, a do Narwi tylko kupki piechoty i działa wycelowane na Polaków drogę zagradzają, rzucili się po jednorazowej salwie ku Narwi. Zmięszani kanonierzy przepuścili ich, zostawiając kilka trupów, a Polacy rzucili się do rzeki, zawiesiwszy karabiny na rzemieniu. W pierwszej chwili nie zauważono ich dobrze, wszystko dążyło ku mostowi, niebawem jednak grad kul zaczął zasypywać rzekę, pokrytą trupami i tonącymi. Kilku zanurzyło się, resztę prąd uniósł o kilkadziesiąt sążni, i wylądowali tam, gdzie baterya Turskiego stała, rozpoczynając ogień przeciw mostowi.

Szosa idąca od mostu na palach szła sto sążni prosto, dalej załamywała się prostokątnie i szła równolegle do Narwi, a stercząc wysoko nad niskiem a bagnistem, rzadko porosłem wybrzeżem, dawała wyborne od frontu schronienie przeprawionym Moskalom.

Skrzynecki nie spodziewający się wcale walnej bitwy, stracił głowę; pułki rozsypane i biwakujące dopiero na widok płonącej Ostrołęki stanęły pod bronią. Zamiast przepuścić część Moskali przez szosę a potem hurmem na nich uderzyć i wyciąć, bo siły wroga nie były wiele liczniejsze od polskich, tylko ogień kartaczowy siedmdziesięciu dział ustawionych na pewnym brzegu i zaślepiona zaciekłość walących batalionów się na prawy brzeg, dawały im groźny pozór.

Czterdzieści armat polskich rozsypanych niekorzystnie ostrzeliwało Moskali, nietylko pod ogniem kartaczowym, ale część nawet pod ogniem tyralierów moskiewskich. Skrzynecki rzucał na przemoc moskiewską kolejno bataliony pojedyńcze po batalionach. Dzielna piechota rzuciła się naprzód przez najstraszniejszy ogień kartaczowy; niedosięgnąwszy jeszcze piechoty moskiewskiej, całe dziesiątki ludzi legły; pod ogniem nieustającym wdrapują się na szosę i tam dopiero ścierają się z Moskalami wręcz, i wre zaciekła walka na broń białą. Ale ciemność miejsca i szczupłość sił ciskanych kolejno w ogień przeciw doskonale zasłonionej masie moskiewskiej, udarem-

niały wszelkie wysiłki męztwa. Ile razy zepchną ze szosy Moskali, znów artylerya z drugiego brzegu zasypuje przetrzebione bataliony żelaznym deszczem. O godzinie pierwszej milknie artylerya polska, bo nabojów nie ma, piechota sama zmarnowana marszami, głodna, nie wypoczęta dobywa co może sił i walczy, a pole bagniste przed szosą jest widownią krwawej rzezi, dym otula je przerzynany żelaznym gradem pocisków, poniżej wre walka, a na ziemi leżą trupy. Jazdy dla bagien użyć niepodobna. Coraz więcej Moskali przechodzi most, a Skrzynecki traci zupełnie głowę. Już wodza obowiązków niepamiętny tylko żołnierzem być zda się; w zamieszaniu woła: „Naprzód Małachowski, naprzód Rybiński, naprzód kto żyje“. Żołnierze słuchają wodza, bataliony, kompanie pomięszane i stargane walką ranną, wszystko kupi się i rzuca z odwagą nieporównaną na wroga. Czwartaków poległa już trzecia część przed Narwią, mimo to idą śmiało w kotlinę ostrzelaną zewsząd górującym ogniem moskiewskim. W tem wylewa się masa Moskali przed szosę; jako powódź długo powstrzymana groblą rosnąc ciągle, nie przełamawszy potężnej zapory, wierzchem się przelewa i rozlewa się spokojnie z drugiej strony, tak i Moskale przebywszy szosę znaleźli się poza zasłoną własnych dział. Lecz Skrzynecki nie widział, że ich zgnieść może, w pomięszaniu i przerażeniu łowi ułanów Kickiego i rzuca ich skroś bagien na bok Moskali. Mężnie szarzuje

garść dzielna, konie zapadają w błoto po piersi, ogień kartaczowy i karabinowy przerzedza ich szeregi, dzielna jazda rzuca się ciągle naprzód, kula działowa rozrywa Kickiego, bagno jest nieprzebyte dla koni. Tyralierzy otaczają zagrzęzłych ułanów, rozpaczliwe wysiłki torują drogę mężnym, ale ukochany jenerał i dwieście jeźdźców zostało bezowocnie straconych!

Skrzynecki poruszył teraz ostatki — bataliony Kamińskiego i rozbitków dwóch drugich dywizyi, z których tylko pozostały zdziesiątkowane kompanie. Rzeź zaczyna się na nowo, Wolski z kilkudziesięciu ostatnimi z swej kompanii walczy jak lew, bagnetem w bok pchnięty pada, walczy kolbą i bagnetem, Witczak mści sierżanta, rozpaczliwe męztwo zyskuje górę — Moskale odrzuceni za szosę. Ale już Polaków nie stało. ostatnie rezerwy, poruszone niewłaściwie, rozbite; i na nowo drą się Moskale ku lasowi przed szosę, gdzie chronią się rozbite bataliony a jenerałowie polscy tracą głowę.

W tem od lewego skrzydła grzmi tętent po szosie, na krwawem tle zachodzącego dnia widać działa, to baterya lekkokonna pułkownika Bema, która ma amunicyą. Na pięćset kroków od skrzydła moskiewskiego działa stają, i rozlega się grom salwy, kartacze szumią złowrogo Moskalom.

— Nabijaj — galopem marsz! słychać komendę, jak szatan w ogniu kartaczowym ba-

teryi moskiewskich z lewego brzegu grzmiących, rusza Bem sto kroków naprzód, działa stają ponownie, i znów sieją kartacze zniszczenie w szeregach moskiewskich. Piechury uciekają tłocząc się i depcąc nawzajem z przed szosy za szosę, a z tamtąd na most Narwi. Bem nie zważa na ogień zmiatający mu ludzi i konie, jego postać krzepka, chuda, oczy błyszczące śród twarzy żółtej, są w najulubieńszym żywiole. Na dwieście kroków przysuwa się do kolumn moskiewskich, i pali kartaczami, póki nie cofnie się ostatni Moskal, a zuchwały ogień jego nadaje bitwie nierozstrzygniętej pozór tryumfu polskiego.

Konający i polegli okrywali pole bitwy na prawym brzegu Narwi, dziewięć tysięcy stracili Moskale, siedem Polacy, ale śmierć trzechset najdzielniejszych oficerów, jenerałów Kickiego i Kamińskiego i niedołęztwo Skrzyneckiego zadało polskiej sprawie ciężką ranę. Porzucenie gwałtem nastręczającego się zwycięztwa, zmarnowanie bezcelowe batalionów dzielnych, winy własne — zrzucił Skrzynecki na żołnierzy, którzy tak bohatersko walczyli. Odtąd wszyscy jenerałowie zganiali własną niezdolność lub brak ducha na mężnego żołnierza, a partya przeciwna powstaniu zaczęła się rozwielmożniać. Żołnierz i oficerowie niżsi spełnili swój obowiązek, wódz nie dowodził wcale, tylko zmarnował wojsko, więc ciężki rachunek zdał przed narodem, że roztrwonił skarb sobie powierzony.

VII.

Do armii w Warszawie

W lesie Myszenickim siedziało kilkunastu żołnierzy odartych, poranionych koło jednego starszego. Wąs najeżony, postawa, mundur, pokazywały, że to kapral czwartego pułku, Mikołajewski. Broń mieli wszyscy, niektórzy karabiny z bagnetem, ale bez nabojów, drudzy kosy, większość tylko krótkie ówczesne pałasze piechoty. Wszyscy spoglądali ku drodze Ostrołęckiej, i ujrzeli wreszcie żołnierza idącego ku nim.

— Panie kapralu nasi wyruszyli już; z trudem ich dognamy, bo patrole mocne moskiewskie włóczą się na wszystkie strony, najwięcej ku Myszyńcowi.

Mikołajewski wysłany, by zgromadzać niedobitków, namarszczył brew.

— A ku Warszawie idą Moskale?

— Ani myśli, oni pewnie daleko więcej od nas zmarnowani, bo nigdzie piechoty nie widziałem, tylko trochę kozaków, którzy się wczoraj nie bili.

— To chcą pewnie naszą dywizyą odciąć — mruknął kapral do siebie — do bitwy na czas nie przybyła, teraz chyba na Litwę ruszy. My, rzekł zwrócony do żołnierzy — ruszymy lasem w bok, tam jest bezpiecznie, potem skręcimy do swoich.

Żołnierze podnieśli się na nogi i zaczęli iść lasem. Po godzinie dobrej marszu odszukali

drogę lichą bardzo, ale widać uczęszczaną, bo stała tam mała karczemka. Obejrzawszy pilnie, czy wroga nie ma, ruszyli do niej, by się pokrzepić, bo upadali ze znużenia i głodu, jeszcze od bitwy wczorajszej nie wypoczęci i nie nakarmieni. Weszli do izby, tam było pusto; tylko żyd dość rosły z rudym zarostem i włosami, cerą piegowatą, stał za szynkwasem, rachując coś kredką, a żydówka i kilka bachorów kręciło się koło niego.

— Dawaj żydzie jeść — zawołał Mikołajewski — mamy czem zapłacić!

— Nie ma nic — odparł żyd — chyba wielmożni żołnierze się napiją.

— Jak to, nie tumań żydzie, przecie widziałem, że na podwórzu coś się kręciło!

— Waj były, ale pouciekały w las, bo się wielmożnych panów zastraszyły — mówiła żydówka — nie ma ich kto łapać!

— Dalejże Sokoła — zawołał Mikołajewski — złapno arędarzowi kury, niech krzywdy nie ma! i już żołnierz był za drzwiami.

— Poco on ma chodzić, panie jenerale, on ich nie złapie, tylko się zmęczy! rzekł żyd żałośnie.

— Cicho żydzie, nie pochlebiaj, jam kapral, rozumiesz, a kapral m wolę być polskim, niż jenerałem moskiewskim; przecie jak kury przez nas uciekły, to do nas należy wyłapać!

— Ny, może panowie żołnierze napiją się wódki?

— Dobrze, i napili się po kieliszku, co ich pokrzepiło po chłodzie nocnym.

Sam Mikołajewski nie pił, był naczczo, niechciał zawrócić głowy trunkiem, arędarza twarz i kłamstwo o kurach mu się nie podobały.

— Wielmożny pan kapral może wina albo miodku pozwoli?

— Nie piję nic — odparł sucho Mikołajewski.

— Nu Ryfke, daj panom wojakom jeszcze wódki — ich gaj wek, halte zy bis ich kimme! aber gib fon der szlechten, ist fyr di gałganes git genug! i wysunął się cicho do alkierza.

Kapral baczył na żyda, ale w tej chwili właśnie otwarły się drzwi i wszedł Sokoła niosąc kilka kur; obrócili się wszyscy ku niemu.

— No gdzie tak prędko je wyszukałeś?

— Wstajni i na strychu panie kapral, oto macie je arendarzowa, i rzucił pięć kur na stół.

— Gwalt — zawołała Ryfke, uni nie żyją!

— Bestye się szarpały, nie chciały za mną iść, więc musiałem je uspokoić! No będziem mieli co jeść.

— A teraz duchem ugotować, rzekł kapral. A gdzie to arendarz?

— Nu wyszedł, miał interesa, ale zaraz przyjdzie!

Gałganes — mruczała do żydziaka wychodząc do alkierza — wen der tatele kimt werden zy haben, krepiren sollen zy!

— Oho — pomyślał kapral, umiejący tro-

chę po niemiecku, bo za młodu wędrował, jako czeladnik po kraju, po Niemczech, i nawet około Francyi — muszę się mieć na baczności, i cicho poszepnął ze zdobywcą kur.

— Prawda panie kapralu, coś na nas knują, ale nie damy się. Pójdę patrzeć.

— Dobrze, ja będę tu w karczmie uważał — a ty wróć za dobre pół godziny.

Wiarusy tymczasem zakrapiali się z gąsiorka, ale kapral strofował ich, więc choć niezbyt chętnie, dali sobie pokój.

Po trzech kwadransach wrócił najprzód Sokoła, a żydówka wniosła garnek z kurami ugotowanemi.

Żołnierze rozerwali w powietrzu kury palcami, po chwilce małej zostały tylko kości pogryzione.

— Wiele się należy? zapytał kapral.

— Ny, jeszcze panowie zostaną, potem się porachuje!

— Gadaj szybko — bo ruszamy.

— Nu mogą panowie trochę czeka, a dokąd to tak spieszno?

— Do Prasnysza!

— Waj niech panowie nie idą, tam dużo wojska, jeszcze zabiją, toby była szkoda, tam są kozaki, niech panowie idą do Myszyńca tą drogą co na prawo idzie!

— A zkąd ty wiesz, że tam kozaki?

— Uni tu byli, zjedli wszystko, wiele wypili i poszli!

— No to my wyjdziem, ale potem wrócim.

Wyszli z karczmy.

— To zdrada — rzekł kapral — miejmy się na baczności. Teraz ruszym do Myszyńca na prawo, bo żydówka patrzy, ale zaraz na skręcie rzucim się lasem w lewo napowrót ku karczmie.

Istotnie ledwo zapadli w las, dał się słyszeć stuk kopyt, naliczyli około stu koni, a żyd ich prowadził. Był to oddział kozacki wysłany w przeddzień bitwy Ostrołęckiej na zwiady za Narew, odcięty przez armią polską; krążył on, by się dostać do Moskali, żyd zaś, szpieg moskiewski, cofnął ich od Myszyńca napowrót, doniesieniem, że są kosynierzy.

Żydówka wybiegła na drogę.

— Uni szli drogą na prawo, chyba się przytaili w lesie, trzeba ich poszukać, pewno się zminęli i są już za wielmożnymi kozakami.

Kozacy cofnęli się i zaczęli przetrząsać las, a żydówka wróciła do karczmy, niespodziewając się powrotu Polaków.

Spiesznie wpadli żołnierze.

— No jesteśmy — teraz czas na zapłatę!

— Panowie wypiją jeszcze — czy spotkali kozaków?

— Ty się napijesz smoły u Belzebuba, krzyknął Sokoła i uderzył ją płazem, a kilku żołnierzy rzuciło ogień w strzechę słomianą karczmy.

— Tak zdradę się karze, — zawołał kapral — teraz wiara w bok co można umykać!

Słup dymu ogarnął karczmę, słoma zajęła się jasnym płomieniem. Kozacy ujrzeli to i przypadli nie wiedząc, czy ogień przypadkiem wybuchł, czy z umysłu podłożony.

Żyd zdrajca lamentował, bo kozacy go jeszcze siekli nahajkami, że Polaków im nie odnalazł — a nasi zanurzeni w lesie uszli, i wieczorem przedarli się szczęśliwie w miejsce bezpieczne.

* *
*

W piękną niedzielę sierpniową widać było mnogo żołnierzy po Warszawie. Polacy leżeli po przedmieściach, Moskale zaś, którymi po otruciu niezręcznego Dybicza, dowodził Paszkiewicz, przeszli Wisłę, by Warszawę atakować i leżeli obozem pod Raszynem. Że zaś nieprzyjaciel był naprzeciw lewego skrzydła i to w dość wielkiej odległości, a pułk czwarty stał na prawem skrzydle zupełnie od wrogów oddalonem, więc udzielano łatwo urlopu, i żołnierze zajrzeli licznie do Warszawy.

Trzech żołnierzy szło ku miastu, jeden blady i osłabiony, był to sierżant Wolski; uniesiony z pod Ostrołęki długo leżał w lazarecie; krzyż nowy: Virtuti militari (za waleczność), przybył mu na piersi; dwaj drudzy byli podoficerowie Witczak i Mikołajewski, awansowany za męztwo pod Ostrołęką. Byłby i krzyż otrzymał, ale zrzekł się dla kolegi, któremu kula armatnia nogę urwała, mówiąc: ja mogę sobie jeszcze

zdobyć krzyż, bom zdrów, ale ten mężny jest kaleką. Szli właśnie szosą od Woli do miasta prowadzącą.

— Przyszło już nam daleko — rzekł Witczak — Moskali mamy pod nosem, czemuż to Skrzynecki ich na drugi brzeg Wisły puścił!

— To już nasze nieszczęście i wina — odparł Wolski — mamy tylko takich wodzów, co gadać umieją a bić się nie chcą; między jenerałami wielu tylko do Moskala się wyrywa, byliśmy sami powinni zaraz 29 listopada wybrać jakiego tęgiego wiarusa, choćby z pułkowników albo majorów na dowódzcę; raczej przedtem jeszcze!

— Tak to, — zawołał Mikołajewski — zostawiliśmy jenerałów, co pod Konstantym tylko na placu Saskim i po cukierniach paradować się nauczyli, teraz bić się nie chcą, sami wdają się w konszachty i jeszcze chcieliby wojsko zdradzić albo do Prus wywieść, jak Giełgud na Litwie! Dwa tygodnie temu przynajmniej ich trochę przepłoszono!

— Źle, że przepłoszono — zauważył Wolski — zdrajców kilku powieszono z mniejszych, ale kto? nie sąd, tylko rozburzony lud, który karząc wielkich zdrajców nie dosięgnie, i na tem się skończyło. Ale cóż za korzyść z tego? żadna. Był rozruch, co jest rzecz nie dobra, potem powiesili tylko kilku małych gałganów, którzy byli na widoku, a tylu wielkich zdrajców zostało w ukryciu i bezkarnie; ci będą się mieli więcej

na baczności i po cichu dalej będą szkodzili. To wszystko dla tego, że przed powstaniem nie obraliśmy tęgiego wodza, nie zważając czy on jaśnie wielmożny, czy jenerał wysłużony czy nie, byle tylko umiał i chciał się bić do końca. Ale dostali się tacy do góry, co bez wiary w powstanie, chcą nas tylko oszukać i poddać napowrót Mikołajowi. Tacy najgorsi i najniebezpieczniejsi, bo nie łatwo im winy przed sądem dowieść; któż ich będzie sądził, gdy są najwyżsi, i któż ich ukarze, gdy mają siłę!

— Skrzyneckiego zrzucili z hetmaństwa — rzekł Witczak — bodajby to przed Ostrołęką zrobili, ale z Krukowieckiego wielkiej pociechy nie będzie. Przecież on pod Grochowem przez zawiść nie przyszedł Chłopickiemu na pomoc, żeby tylko bitwy nie wygrał!

Tak rozmawiając weszli do miasta i spotkali znajomych.

— Dokąd kolega? — zapytał Witczak kaprala ze swego pułku, który przed kilku dniami z rezerwami przybył do obozu.

— Zobaczyć miasto!

— To na potem, najpierw poznajomimy się z kolegami, tu obok wstąpim na miód; tam chodzą nasi, i też z innych pułków, zwłaszcza od ułanów, dowiemy się czego!

— Dobrze, jeszcze mam dosyć pieniędzy z żołdu, bo nie miałem gdzie stracić.

Wstąpili, a zasiadłszy przy kubkach miodu zaczęli rozmawiać.

— Cóż powiesz, kolego — co słychać na powiatach?

— Nic dobrego — rzekł kapral — do szeregów garnie się dużo, ale w zakładach marnują tylko ludzi. Przypatrzyłem się, jak to idzie u Stryjeńskiego!

— A — zawołał Wolski — to ten sam, którego z linii wyrzucili, bo pod Iganiami nie przyszedł nam w pomoc! Ładnym to rękom powierzają tak ważną sprawę!

— Jeżeli tak, rozumiem doskonale — rzekł kapral — czemu rzeczy takim idą porządkiem! Wiecie, że Stryjeński miał i jazdę organizować. Bóg wie co z pieniędzmi tam robią ci dostawcy, wielu gałganów między nimi, licho co dostarczali, i jeszcze w jakim gatunku. Gdyby o nas ludzie nie byli pamiętali, nieraz mielibyśmy głód. Koni nie skupywali wcale, ładne żydom przedawali, ci je wywozili za granicę; wielu starych kawalerzystów widziałem płaczących, że ich pakowano do piechoty; o ćwiczeniach mowy nie było, chyba, że kto z dobrej woli chciał!

— Cóż więc ci panowie organizatorowie robili do kata!

— Grali w karty dzień i noc, Bóg wie czyje pieniądze przegrywali, siedzieli po dworach i probostwach. Smutno było patrzeć, Bogu dzięki, że raz dostalim się do linii!

— Tu teraz nie lepiej — odparł Mikołajewski — nie kradną wprawdzie dostawcy, ale

porządku od Ostrołęki nie masz żadnego. Skrzynecki rozbisurmanił wszystkich oficerów.

Sam dawał zły przykład, teraz lada podporucznik od piechoty w marszu konno jeździ, bo za leniwy iść pieszo, a pułkownicy nic nie mówią, nawet mało nieraz wiedzą, co się dzieje w pułkach. Od czasu jak obozem koło Warszawy leżymy, to jenerała ani pułkownika nie doszukasz się prawie w obozie. Wszystko siedzi w Warszawie, nawet niższe oficery zaczynają sobie pozwalać i hulają po Warszawie zamiast pułku pilnować; ledwie parę pułków, gdzie jest trochę porządku, a kary na to nie widać!

— Nasz Majewski jednak to dzielny pułkownik!

— Ba — odparł Mikołajewski — ten od początku był przy powstaniu, bił się dobrze, nieoglądał się na Moskali i Francuzów, tylko robił swą powinność, jak na Polaka i żołnierza przystało, więc teraz pułk czwarty trzyma w porządku.

— Najwięcej od wodza zależy — rzekł sierżant — jaki pan taki kram.

— Dobrego wodza — nie mamy!

— Dwernicki był — powiedział kapral — z jego upadkiem i szczęście nas opuściło.

— Niedostaniemy go, bo go Austryacy trzymają.

Krukowiecki — ten niema żadnej powagi!

— Czemu — zapytał kapral — jam nieświadomy niczego, ale słyszałem, że Krukowiecki się wiele krząta?

— Krukowiecki — odparł Wolski — tylko udaje, jemu chodzi, by o nim mówiono; to dumny dziad i ogromnie zawistny, on chce się wynieść każdym sposobem. Póki był komendantem Warszawy tylko, stawiał barykady na śmiech, z pudeł sosnowych pełnych gnoju i śmieci bruk popsuł, że teraz sam karetą po ulicach z trudnością jeździć może; co złapał żydka szachraja, zaraz krzyczał, że szpieg, i wieszał na Muranowie; kłócił się ze Skrzyneckim; płazował gwardzistów narodowych, co z pikami strzegli kup śmieci i sklepów żydowskich; przepraszał płazowanych znowu; krzyczał wszędzie, że sam jeden Polskę zbawić może. Że Skrzyneckiego nie cierpiano, bo wojsko zmarnował i Moskali puścił więc uwierzono jemu. Wywołał tedy rozruchy wieszania zdrajców, rząd się zląkł; jego mianowano naczelnikiem. Teraz ma co chciał, ludowi figę pokazuje, jak się kilka tysięcy tęgiej wiary do gwardyi narodowej zgłosiło, odrzucił wszystkich, bo pomyślał, źle będzie ze mną, jak się poznają, wojsko zostawia w nieporządku; to ma być wódz!

— No, a Małachowski, co go w komendzie zastępuje?

— Zacny to jenerał, ale za stary i za słaby, nie przyjdzie do porządku z jenerałami. Wszystko wzięło na kieł pod Skrzyneckim, słuchać żaden niechce, kiedy komenderował.

— Dobryby był Umiński — rzekł Witczak — albo Dembiński, przecie on przywiódł wojsko

z Litwy do Warszawy, kiedy drudzy woleli uciekać do Prus!

— Ciby się bili — odparł Wolski — ale Dembiński był już wodzem, a po trzech dniach miał dosyć i buławę złożył; Umiński zaś niewytrwały jest!

— A Bem — zapytał kapral — co rekrutów Czyżewskiego uczył ciskać granaty ręczne?

— Widzieliśmy go przy robocie pod Ostrołęką, Iganiami — powiedział Mikołajewski — tam dzielnie się spisał.

— Za pozwoleniem koledzy — zwrócił się do nich siedzący obok lekko — konny artylerzysta, znajomy Wolskiego...

— Prosimy!

— Bem dzielnie komenderuje baterją, to tylko ogień bije przez człowieka, jak on zakrzyknie. Byłem pod Ostrołęką w jego bateryi. Jak jest w ogniu, to chciłby ze skóry wyskoczyć, niecierpliwy ogromnie, tylko konna baterya może za jego rozkazem wyskoczyć. Przytem nie lubią go w wojsku, bo jest ogromnie opryskliwy.

— Prądzyński byłby nie zły — zaczął znowu sierżant, bardzo uczony i zdolny jenerał, dobrze dowodził pod Iganiami, wszak pamiętacie! — Ale nie ma stałości w nieszczęściu. Jak leżałem w lazarecie, to mówił mi jakiś porucznik od artyleryi, że pod Ostrołęką rwał włosy z rozpaczy, zamiast wytrwać do ostatka! Do rady on jedyny, ale do czynu to wątpie.

— Doczekamy się — odparł Mikołajewski

— pociechy z jakiego pułkownika, tam jest nie jeden tęgi człowiek, wydobędzie się jeszcze wódz, a tymczasem jesteśmy jeszcze tu, mamy broń w ręku i okopy Warszawy!

— Z furażem jest krucho — rzekł Witczak — ale po to wyszedł Łubieński i Ramorino, tylko mi dziwno, że prawie pół wojska wysłali.

— Zamierzają pewno wyprawę jaką!

— Niech im się dobrze wiedzie — i wypróżnili kubki, poczem zapłaciwszy ruszyli dalej w miasto.

I poszli razem. Ulice były pełne ludu — ruch był wielki między obozem a miastem. Około cukierni przechodząc ujrzeli wychodzących kilkunastu starszyzny, pułkowników i jenerałów. Salutując prześli, a urywki rozmowy dochodziły ich uszu!

— Do trzechset djabłów — mówił jenerał — tom się zgrał. Chyba nie czysta sprawa!

W tem ujrzeli starego konowała Macioszka, przyzwoicie odzianego.

— Witajcie doktorze! dawno was nie widzielim.

— Helf Gota, żabiaki, myślałem żeście poginęli, że leżycie na jakim pobojowisku, a wyście zdrowi!

— Nie zewszystkiem — rzekł śmiejąc się Wolski — tu przeszedł mi bagnet.

— Ależ wujaszku — powiadajcie, coście robili.

— Pas nych, chcecie na dworze rozmawiać żabiaki — wstąpimy lepiej.

— Dobrze — i wstąpiwszy zasiedli koło stołu.

— No cóż? jak z wami było.

— O Boże, daj Boże, jak najlepiej — ale miałem dużo kłopotów.

— Jak to?

— Posłali mnie, Gota libe Gota do Stryjeńskiego, do zakładu jazdy!

— Prawda — rzekł kapral — widziałem ja tam was kiedyś, słyszałem, żeście mieli zdarzenie!

— Cicho żabiaki — nie przerywajcie doktorowi. Chcieli mnie szelmy do piechoty wziąć, ale ja rzeknę: Bóg nasz a my jego, niepójdziemy wszyscy do niego, a wybyśta chcieli wszystkich do piechoty wsadzić! Pass nych. Ja powiadam, doktór od ludzi i koni — kapral od czwartego pułku ułanów, do piechoty iść nie myślę. Dobrze, zobaczymy, koń jenerała spędzony — wylecz go, bo z nim źle. Tak poszedłem do konia a przy koniu był sam Stajeński, nie w mundurze, ale w cywilnem ubraniu. Pyta mnie a tyś konował? a ja Gota libe Gota żabiaki — ja leczę bydło i ludzi! On bardzo się oburzył i kazał mnie imać do aresztu, dopiero rotmistrz mnie wytłomaczył, dawny znajomy: on jenerała nie zna, każdemu tak mówi — to jego zwyczaj, a konia wykuruje. Więc powiada jenerał: konia zepsujesz, dostaniesz karę dubeltową, wyle-

czysz — to talara! Ja koniowi krwi puszczę, palnę go w kark; pół kubka juchy wyciekło, ale koń był zdrów. Jenerał dał mi talara, i prawi: ruszaj z Bogiem. Ja mu ładnie podziękowałem a on mówi: co chcesz za nagrodę więcej, bom rad! Olejku już przed tem trochę wypiłem, więc byłem bardzo śmiały, co w sercu to na języku. Proszę, żeby mnie pan jenerał do linii odesłał, bo przywykłem do porządku. Jenerała ukłuło mocno, bo w jego komendzie mocny nieporządek i zaraz mnie do aresztu, ale przecie potem puścili mnie do pułku!

— Niech żyje nasz doktor!

— Ale wiara — teraz kto chce, niech obejrzy trochę miasto, bo późno, a za dwie godziny urlop upływa!

VIII.

Szturm Warszawy.

Jeszcze blade światło dzienne nie oświeciło ziemi, kiedy w szańcach Warszawy stało wojsko polskie pod bronią, dnia szóstego września. Na prawem skrzydle przed rogatkami wolskiemi stało pięć tysięcy piechoty z garścią jazdy, na lewym ku Wiśle 20 tysięcy Umińskiego zajmowało mocne stanowisko. Stutysięczna armia Paszkiewicza z czterystu działami gotowała się do szturmu, bo dowiedziała się przez gadatliwość polskiego parlamentarza, że połowa Polaków wyruszyła pod Ramorinem i bije się o trzydzieści mil.

Pierwszy batalion czwartego pułku stał pod bronią przed Czystem, pół godziny przed rogatkami wolskiemi. W gęstej mgle rysowały się na prawo i lewo nie wyraźne szańce drugiej linii. Powoli zaczęła mgła rzednąć, zdala o ćwierć mili majaczyły zamazane na widnokręgu okopy Woli. Małachowski, zastępca wodza, galopował ku lewemu skrzydłu, słuchając rychło szturm się rozpocznie. Zegarek wskazywał piątą, kiedy skroś mglistych tumanów jęknął zdala pod Wolą strzał jeden i drugi, a wkrótce zagrzmiały całe salwy studzisłowe ogarniając Wolę i nasypy sąsiednie pół milową wstęgą ognia. Mgła zaczęła opadać, ale nowy tuman wzniósł się, dym siny, co chwila przerywany ognistym wybuchem. Słabo grzmiała odpowiedź, tylko kilkanaście dział niecilo ogień z polskiej strony.

Działa grzmią a grzmią, ścierając na proch wały Woli i sąsiednie barkany, a pięćdziesiąt polskich dział rezerwowych stoi w milczeniu nieruchomem.

Przypada adjutant Małachowskiego.

— Gdzie komendant artyleryi, gdzie Bem?

— Nie ma go!

Tymczasem grzmi ciągle kanonada. Siedmdziesiąt dział nowych przybywa i ogarnia całą pierwszą linią nasypów polskich jedną trąbą kurzu i ognia — a polskie baterye rezerwowe stoją nie ruchome, Bem pod karą rozstrzelania zakazał szefom bateryi ruszać się bez jego rozkazu. Dembiński zamiast z całą dywizyą ruszyć z pod

Czystego na pomoc, bieży z jednym batalionem tylko i czterema działami wspierać Wolą.

Już dwie godziny wre walka. Barkany wystawione na ogień ciągły nie istnieją, wał z piasku, kulami rozorany osypał się w rów, palisady powalone, jak kręgle, działa milczą zdemontowane. Tu leży armata pęknięta, trupy kanonierów porozdzieranych wybuchem otaczają ją; tam druga ze zdruzgotaną lawetą, a wszędzie pełno trupów piechoty, zmiatanej kulami wroga od końca do końca. Zdala zaczerniały masy piechoty moskiewskiéj, to szturm na obumarłe już barkany.

Ale o trzysta kroków ożywiają się gruzy i słomki, gęsty ogień piechoty polskiej trzeszczy zewsząd, żołnierze straciwszy wszelkie czucie i zmysł zachowawczy nie dbają o nic, karabin jak maszyny raz do nogi, drugi raz do ramienia biorą, nabijając nabojami odebranemi poległym, nie czując, jak parzy rozogniona lufa. Milkną kolejno strzały, bo nie staje naboi, słychać wrzask hurra, podniecone wódką tłumy moskiewskie napadają oba nasypy zasłaniające Wolę.

W jednym jedenastu zostało, a tu cała dywizya moskiewska wali na okop. Jeden żołnierz rzuca broń i woła pardonu. Jak błyskawica szpada oficera przeszywa mu pierś.

— Zginiem, ale się nie zdamy!

Chwilkę kotłuje jeszcze walka, w tłumie pokrywającym barkan znać jakieś drżenie, wstrząśnienia, to konwulsye konającej załogi... wreszcie cicho... obrońcy wyginęli co do nogi.

A Bogusławski stoi przy pułku czwartym i patrząc przez lunetę woła jeszcze:

— To nasi!

W drugim barkanie zostało kilkunastu tylko z porucznikiem Ordonem na złomkach palisad, dział, lawet, śród trupów i konających. Ponure milczenie zalega okop, bo ostatni nabój wystrzelony, a Moskale wrzeszcząc „hurra“ już blisko! Ordon woła do siebie starego kaprala, to jeden z tych co nie znają trwogi, co szturmowali kiedyś Saragosę, dom po domu.

— Już koniec, ty idź do prochowni i wysadź!

Kapral spojrzał naokoł, odsieczy nie widać, z boków, z przodu, z tyłu idą pułki szturmowe, sypią się przez rów na wał.

Pożegnał ziemię, słońca nie widać, bo skryło się za chmury, skoczył do lochu na dół z lontem tlejącym. Przeżegnał się i rzucił lont na proch.

Zakołysał się grunt, potem ogień i dym buchnął wysoko w powietrze, huk jak stu piorunów zatrząsł powietrzem, wreszcie opadły gruzy... dym jeszcze osłania straszne zniszczenie i parę tysięcy trupów. Pułki moskiewskie stoją w niemem przerażeniu, a Bogusławski poznaje swój błąd.

— To Moskale otoczyli Wolę, a Bema niema!

Wolę otacza półksiężycem dwieście już dział, dwanaście armat w Woli wnet milkną. Pociski moskiewskie sięgają linii drugiej nasypów, już ztamtąd musi artylerya polska odpowiadać. Ma-

łachowski nie czeka na Bema, łowi baterye i rozstawia je jak może.

Bem przybiega na rumaku spienionym, w oczach błyszczy gniew.

— Do kroocset djabłów, gdzie reszta? — ryknął na szefa jedynej pozostałej bateryi.

— Wzięte, bo pierwszą linię już prawie całą zdobyli!

Nic nie odpowiedział jenerał; w głębi duszy ozwał mu się straszy wyrzut: „twoją to winą zdobyte nasypy“ — i rzucił się w wir ognia, by straszniejszą burzę w duszy zagłuszyć.

— Za mną! — krzyknął.

Galopem wali za Bemem lekkokonna baterya po szosie błońskiej, w bok Woli, gęsto uderzają w prawo i lewo kule moskiewskie, ale Bem nie zważa na nic, baterya staje na boku dział moskiewskich. Straszna walka artyleryi się zaczyna, koń pada pod Bemem, ale Moskale muszą skrzydło cofnąć, w powietrzu krzyżują się kule i granaty. Godzina dziesiąta nadchodzi, połowa ludzi i koni Bema wybita, trzeba się cofnąć.

A w Woli wre ogień, dzielny Sowiński, bohater o nodze drewnianej sam wlokąc się na szczudle obsługuje ostatnie działa nie pęknięte i nie rozbite. Z Woli teraz wielkie cmentarzysko, gdzie na trupach poległych, śród jęków rannych i konających broni się major Biernawski od nawały walącej z trzech stron. Pięć batalionów polskich walczy przeciw dwom dywizyom....

to bój rozpaczy. Rzeź zapamiętała wre we wsi, bagnet i kolba już przestają w natłoku działać, rozbrojeni porywają się za bary, duszą wzajemnie i giną w wściekłym boju.

W tem Lueders zdumiony dwugodzinną walką nową szle dywizyą, obchodzi Polaków z tyłu. Major Dobrogojski traci głowę.

— Ratuj się kto może — woła — i porywając za sobą dwa bataliony wybiega z Woli.

Już mało Polaków zostało, wszędzie trupy polskie i moskiewskie, z obu stron walczą na życie i śmierć. Część tarasuje się w kościele, część zatacza z Sowińskim działo do schronu.

Kościół, cały w ogniu, ranni i konający posyłają zbójcom z przekleństwem ostatnie kule. Drzwi kościoła wybite wnet, rzeź wre w kościele u stóp ołtarzy. A jako latem śród ulewnego deszczu ulice obfitą wodą spływają, tak posadzka we Wolskim kościele spłynęła krwią jego obrońców.

Teraz tylko Sowiński sam obsługuje z kilku wiernymi działo, dając ognia kartaczami do czerni, nieprzerażony trzydziestobatalionowym tłumem zwalonym na Wolę. Bataliony rzucają się ku schronowi, tam gdzie stoi Sowiński. Słychać huk, kartacze zaszumiały w szeregach spustoszenie wznosząc, ale nowe linie rzucają się z bagnetem naprzód.

Sowiński o szczudle stoi oparty o dymiące jeszcze działo, w ręku dzierży karabin. Oficer moskiewski zbliża się.

— Wołaj pardon — wasi polegli, szaleństwem chcieć się opierać!

Sowiński przebija go bagnetem.

— Polak poddaje się tylko Bogu — oto pardon Polaka!

Kilkanaście bagnetów tonie w piersi bohatera.

Sowiński chyli się w tył, życie upłynęło z krwią — ale oparty na szczudle o armatę stoi jeszcze, w zakrzepniętej prawicy dzierżąc bagnet, oko martwe lecz otwarte błyszczy groźnie, wróg nieśmie oczu podnieść na niego.

Na olbrzymiej trumnie wolskiej osadzają Moskale działa i drugą linią zasypują ogniem.

Batalion pierwszy w czwartym pułku stał pod Wolą, w tem przybiegają rozbitki Dobrogojskiego. Oficerowie obdzierają sobie szlify z rozpaczy, żołnierze łkają.

— To major Dobrogojski winien — on nas uwiódł!

— Nic rozpacz nie pomoże — woła groźno i surowo Małachowski — waszą winą Wola stracona, wy ją odzyskajcie!

Żołnierze szykują się. Batalion czwartaków występuje naprzód, razem wszystkiego tysiąc pięćset ludzi.

— Proch z panewek! Dalej do ataku!

Grzmią bębny hucznie, żołnierze bagnety zniżają do ataku, wznoszą okrzyk tryumfalny i spiesznym krokiem rzucają się naprzód.

— Dalej bracia — zdobędziemy co stracone. I garść tonie w obłoku kurzu i pocisków

któremi ją Moskale zasypują. Już są na parę set kroków, grzmi salwa kartaczowa jedna i druga, trupy walą się na ziemię, szyk szturmowo się rozsypuje.

— Dalej bracia, łączyć się, a naprzód!

Żelazne bataliony ściągają się znowu, i znów uderzają naprzód.

Nowe salwy kartaczowe hukają, kolumna pęka raz wtóry. Ci ludzie żelazni idą w dym, łączą się znowu i ruszają na dymiące od wystrzałów okopy. Już są na sto kroków od Woli, ale grzechocze salwa piechotna a na prost, na prawo i lewo w kłąb, nowe trupy się walą. Zginął ów wiarus z pod Serocka, co żonę świeżo zaślubioną dla Ojczyzny porzucił. Kolumna niezmiernie uszczuplona łączy się znowu. Z drugiej strony rzucają się liczne bataliony moskiewskie. Z obu stron wyborowy żołnierz, Lach i Moskal, uderzają bagnetem na siebie, wre walka zapamiętała, bezpardowana, odrzucają wreszcie Moskali. Nowa fala wraca, kilkuset Polaków zaledwie zostało, ogień kartaczowy i szturm mas nie do przezwyciężenia, reszta ustępuje pod Czyste.

Teraz zagrzmiała artylerya Bema. Pięćdziesiąt polskich a dwieście moskiewskich dział zagrzmiało, z obu stron zniszczenie, kupy koni i ludzi wszędzie zawalają drogę, działa rozbite leżą bez lawet, kule orzą pole, a dym gęsty przysłania niebo. O czwartej milknie ogień, zawieszenie broni nastąpiło. Trzy tysiące polskich, ośm tysięcy moskiewskich trupów zaległo plac boju.

Lecz gdy żołnierze lali krew w obronie polskiej stolicy mieszkańcy zaczęli się zbrojno pojawiać po ulicach. Ale Krukowiecki, naczelnik polski, zagroził kulą w łeb każdemu, który się z bronią na ulicy ukaże, konnymi strzelcami omiatał ulice z tych którzy chcieli pospieszyć na wały, bo w jego duszy wylągł się gad zdrady, powstała myśl poddania Warszawy.

Noc zapadła. Moskalom daleko było do zdobycia miasta, broniła go jeszcze druga i trzecia linia szańców, dwadzieścia siedm tysięcy żołnierzy, wreszcie ludu tyle ile w nocy listopadowej wybiegło wyganiać Moskala, byleby jego patryotyzmu gwałtem nie tłumiono, a odsiecz Ramoriny mogła w parę dni przybyć.

Żołnierze koczowali miedzy wałami. Na ciemnem tle nieba nie było widać ni jednej gwiazdy, niedziw, bo gwiazda powstania zachodziła... zaciemniły jej blask zdrady i hańba.

Nazajutrz rano sejm zwołano, zawieszenie broni trwało do drugiej. Krukowiecki bezczelny i Prądzyński słabego charakteru przerażony szturmem wczorajszym, chcieli nakłonić sejm do kapitulacyi bez boju!

— W jednej godzinie — prawił Prądzyński — zdobędzie Moskal Warszawę, pijany i mordu chciwy żołnierz napełni ulice miasta. Chcecie widzieć stolicę Polski spustoszoną, mord i pożogę wszędzie, kościoły, domy, pałace zrabowane i zniszczone, żony córki pohańbione! Ufajcie w łaskę Mikołaja, Krukowiecki podejmie się traktować

Dłużej jenenałowi mówić nie pozwalają.

— Przesadza — zawołał poseł Jełowiecki — jenerał się myli, straty Moskali są znacznie większe od naszych. Bem sam mówił mi, że drugiej takiej kanonady, jak wczoraj, Moskale nie mogą próbować, zanadto amunicyi już wypotrzebowali, — a Bem przecie zna się na tem. Tylko Krukowieckiemu nie wierzcie, miasto jeszcze kilka dni trzymać się może, a tymczasem Ramorino z posiłkami nadejdzie. Bądźmy do końca wierni naszej przysiędze, wytrwajmy w obronie wolności; nie dajmy się skusić do haniebnego poddania!

Wtem dał się słyszeć grzmot dział.

— Nie tu — zawołał poseł Szaniecki — miejsce jenerale podczas boju, by nas do hańby nakłaniać, on tam być ma, gdzie działa ryczą!

— Tak, tam jego miejsce! — ozwali się posłowie jednogłośnie, a Prądzyński ulegając wezwaniu opuścił salę obrad.

— A my — przemówił marszałek sejmu — obradujmy przy drzwiach otwartych, by lud słyszał nas; wróćmy do obrad nad uwłaszczeniem włościaków, do końca ma być naszem zadaniem starać się o dobro narodu!

I podczas gdy przedstawiciele narodu, jak przystało na prawych Polaków odrzucali haniebną pokusę wroga, wrzała walka koło drugiej linii szańców. Małachowski kierował na prawem, Umiński na lewem skrzydle, ale tylko dwanaście tysięcy ludzi brało udział w boju, reszta stała

na prawo i lewo od placu walki. Jenerał Krukowiecki, wódz, nie mięszał się do niczego, chyba groził mieszkańcom rwącym się na wały, kulą w łeb i zamyślał tylko, jak naród spólnikiem swej hańby uczynić.

Pułk czwarty, zmarnowany wczorajszą bitwą i przetrzebiony znacznie, zajmował szaniec nad drogą do Woli, pół ćwierci mili od Warszawy, na przedmieściu Czystem, ale mimo rany i znużenie, ten sam duch co zawsze ożywiał dzielne szeregi. O godzinie drugiej zagrzmiało półtrzecia sta dział moskiewskich przeciw lichym z piasku nasypom polskim, a Bem w sto dział wdał się z nimi w pojedynek.

Nasypy polskie rozwalały się pod strasznym ogniem dział, zabudowania Czystego stały w płomieniach, oddzielając od siebie morzem ognistem pułki stojące na prawo i lewo.

Naprzeciw Umińskiego dwie dywizye grenadyerskie rzuciły się na Polaków; ogień bateryi i bagnet polski odepchnęły je napowrót, a czwarty pułk ułanów zaczął je ścigać. W tem dywizya konnej gwardyi moskiewskiej napadła pułk; lance dzielnych ułanów utorowały im drogę z tej morderczej obręczy, a Moskale w nadużyciu wódki rzucili się między trzecią linią nasypów polskich. Rusyła jedna i druga salwa krzyżowego ognia, pijane szwadrony zaczęły się mięszać, i wreszcie pomiarkowawszy się uciekać pod gęstemi salwami kartaczy, ale ledwo który powró-

cił do Moskali — cały pułk prawie zalegał przestrzeń koło szańców, trupami ludzi i koni.

Tymczasem działa szturmowe biły cztery godziny na nasyp, gdzie stał pułk czwarty. Już oddychać było niepodobno, kurz napełniał powietrze, a kule raz poraz zmiatały całe szeregi Polaków. Wreszcie kolumny piesze upojone wódką, posunęły się do szturmu na prawy i lewy bok szańca.

Dzielny jenerał Węgierski objął komendę osobiście nad pułkiem.

— Pamiętajcie wiarusy — wołał przypominając dawniejsze czyny — na Dobre. Grochów, Dembe, Iganie, Ostrołękę. Tak dzielnego pułku w całej piechocie drugiego niema, bijcie się, jak to tylko wy umiecie, a popamiętają Moskale szturm Warszawy.

Moskale walili już na prawo i lewo dwiema dywizyami.

— Niech żyje Polska! wzbił się okrzyk podniesiony, pułk czwarty rozłupał się na prawo i lewo, stawiając dwa fronty, i utonął we falach moskiewskich, jako nurek w morzu. A'e wnet wynurzyły się bagnety polskie z masy wrogów, upchnięto skrzydło Briggena i przebojem rzucili się czwartacy do cmentarza ewangelickiego otoczonego murem. Nowe kolumny jednak zawalały jeszcze drogę.

— Jeszcze Polska nie zginęła! zakrzyknął stary Wolski i rzucił się przed front pierwszego batalionu wraz z kilku oficerami naprzód. Ka-

szkiet zerwała mu kula poprzednio, z gołą głową, z lśniącym bagnetem uderzył przodując swej kompanii. Rozległ się szczęk stali, kilka bagnetów rozszarpało mężnego sierżanta, weterana Napoleońskiego: zginął, lecz szczęśliwy, bo zginął na ojczystej ziemi.

W jego ślady podążył pułk cały, Witczak mścił swego sierżanta krwawo, rozbijając kolbą Moskali, Mikołajewski brak siły zręcznością pokrywał, i skroś krwawej rzezi dostali się czwartacy na cmentarz. Z murów opatrzonych strzelnicami zaczął się sypać ogień rzęsisty na trzydzieści batalionów Briggena i Szachowskoja walących się zewsząd na Polaków. Tłumy zawahały się w szturmie, posłano po konne baterye moskiewskie. Jedna ognista tęcza ogarnęła cmentarz, ale od środka tej tęczy promieniały bezustannie wystrzały karabinowe, cmentarz stał nie wzruszenie śród ognia, a z poza złomków cegieł, z poza nagrobków wrzał ogień bezustanny do wieczora. Po obu stronach padał liczny trup. Wreszcie słońce zaszło, pułk czwarty spokojnie opuścił zburzony cmentarz i cofnął się do wału miejskiego. Tu zaczęła się przeciągła i bezustanna fizyliada.

Moskale padali licznie pod celnemi strzałami Polaków.

Na lewem odzywały się również ciągłe strzały i pomruk walki na bagnety. Tam kolumny szturmowe natrafiły na masę Umińskiego i nie wskórawszy nic musiały ustąpić.

Walka przygasająca tlała zaledwie. Pułk czwarty stał w ponurem milczeniu, obliczając swe straty. W tem kilkanaście postaci zaczęło się tłoczyć przez wejście do wału.

— Kto to — zapytał podoficer Mikołajewski — to ty Witczak?

— Tak, wróciłem z wycieczki — miałem szczęście, tylko mnie poranili.

— Wolskiego nie ma, gdzie on?

— Zginął, tyś nie uważał, bo to było, gdy się przedzieraliśmy na cmentarz — bagnetami go rozszarpano. Leży on na swej ziemi, tułał się wiele za życia, teraz spocznie.

— Ale przynajmniej Warszawa ocalona.

W tem przygalopował adjutant Krukowieckiego.

— Jenerale — zawołał salutując Węgierskiego — rozkaz, abyś opuścił Warszawę!

Jak gromem rażeni stanęli czwartacy; jęk i przekleństwa dobyły się z ich ust.

IX.

Granica.

Jenerał Krukowiecki poddał haniebnie i niepotrzebnie Warszawę. Czterdzieści tysięcy zbrojnych Polaków stanęło nad Wisłą pod Modlinem; ale Ramorino, mający rozkaz ze swemi dwudziestu tysiącami z główną armią się złączyć, wypowiedział otwarcie posłuszeństwo, podburzony od zdrajców, obawiających się kary za knowania przeciw narodowi, i wlókł żołnierzy nieszczęsnych

do austryackiej granicy, durząc ich kłamliwemi wieściami.

Mimo to nie było nic straconem. Polacy mieli wojsko, fortece, pieniądze, lud zaczął teraz dopiero rozumieć, co znaczy wolność. Sejm podniósł głos wzywający do boju za Ojczyznę, Moskale zaś wyniszczeni wyczerpywali już nagromadzone siły. Dwadzieścia tysięcy leżało zagrzebanych w gruzach szańców warszawskich, naboi brakło im zupełnie. Jedna rzecz tylko osłabiała Polaków. Był to jad śmiertelny, który całe powstanie paraliżował: owa partya duchów moskiewskich, która w siły narodu własnego nie wierzyła, sprawę narodu bezustannie psuła, udaremniała wszelkie starania sejmu o polepszenie bytu ludu; ta partya powlokła się za wojskiem, chcąc je poddać Moskalom i uczynić spólnikiem swej hańby.

Lecz w sejmie biło jeszcze dość dzielnych serc, lecz wszyscy żołnierze pałali zanadto gorącą chęcią do boju, lecz mimo wielką ilość Konstantynowskich jenerałów, było dosyć jeszcze szlachetnych, by takiej hańby nie dopuścić.

Sejm przeniósł się do Zakroczymia, i podnosił ducha armii, opierając się żądnym poddania nikczemnikom. Niestety, za wpływem duchów moskiewskich, którzy sami jedni zgodni byli w swym przewrotnym i matkobójczym zamiarze, podczas gdy uczciwi oficerowie lubo liczniejsi, ale rozproszeni i mało się porozumiewający, swych pomysłów przeprowadzać nie mogli.

wybrano wodzem jenerała Rybińskiego, człowieka spokojnego, uczciwego, ale dającego się łatwo powodować, i jego właśnie imieniem okrywano wobec prawych mężów konszachty ta ne z Paszkiewiczem, których ten używał, by Polaków od uderzenia na rozproszone siły moskiewskie powstrzymać, a z chwilą, gdy dowiedział się o zdradzie Ramoriny (Włocha), pozbywszy się obawy najdotkliwszej, zerwał zaraz układy.

Wojsko poruszono na brzeg prawy, by w Krakowskie wyruszyć. Ale Paszkiewicz przerażony udał się znów do układów, a jenerał Rybiński zamiast wroga obawy na jego skórze sprawdzić, wolał się układać z Moskalami. Zwołano radę wojenną z jenerałów i pułkowników, chytrze dobierając chciwych poddania się; hańba zawisła nad wojskiem. Lecz nieproszeni wpadają na radę prawi Polacy, Bem, Małachowski, Węgierski, wydzierają pióro sprzysiężonym Targowiczanom nowym, głosują przeciw przyjęciu warunków Paszkiewicza, a Ojczyzna zapamiętała ten czyn odwagi obywatelskiej. Struchleli spiskowcy, wołają:

— To tylko żądza wojny, nie dobra kraju, osobiste pobudki skłaniają ich do takiego głosowania!

Powstał zacny Małachowski.

— Byłem w St. Domingo — zawołał starzec — widziałem tam murzynów nagich, w pałkę jedynie zbrojnych, rozpaczliwie walczących za wolność; a trzydziestu tysięcy Polaków z dzie-

wieśdziesięciu działami chce się zdać na łaskę wroga, który Ojczyźnie grób chce zgotować!

Mimo to opętańcy gwałtem się wydzierają do stóp carskich.

Tymczasem w pułkach kipi oburzenie.

— Czy my bydło — woła sierżantem na miejsce poległego Wolskiego mianowany Witczak do kolegów czwartaków — żeby nas tu i tam włóczyć a od boju odciągać!

— Żonę porzuciłem — rzekł podoficer Mikołajewski — by walczyć za kraj, a nie na to, by tchórzom dać się zmarnować lub wydać w ręce Moskali.

— Prawda — wołały liczne głosy — oczyśćmy wojsko ze zdrajców!

Wtem lotem błyskawicy przebiega szeregi wiadomość, że Rybiński zrzucony, a Umiński mianowany wodzem.

— To szczery wojak — zakrzyknął Witczak — ten nas powiedzie na wroga, nie będzie żebrał litości moskiewskiej.

A tymczasem na prawo i lewo kręcą się jenerałowie i pułkownicy, zwolennicy Moskwy, odmawiając ludzi Umińskiemu.

— Pamiętajcie — woła Malberg do grenadyerów — jak Umiński przyjedzie, to wołać, że go zastrzelicie; on chciałby tylko kasy zabrać, i rozdrapawszy pieniądze za granicę do Francyi uciec, a was zostawić!

Dywizya konna Skarzyńskiego Ambrożego stała w szeregach. Umiński zdala widny, oto-

czony sztabem podjeżdża do dzielnych kawalerzystów.

— Żołnierze, mianowany przez Rząd Narodowy waszym wodzem przybyłem do was. Nie układy ale walka zacznie się, na nic knowania pokątne tych, co chcą zdradzić Ojczyznę. Szablą będziem walczyli, nie piórem. Niech żyje Polska!

— Niech żyje nasz wódz, jenerał Umiński! zagrzmiał okrzyk ułanów i konnych strzelców, Umiński dla gwałtowności nie był w wojsku lubionym, ale wiedziano, że gotów bić się do ostatka i jako wódz hańby Polakom niezgotuje.

— Co to ma być — dajcie dokój temu szaławile — Rybińskiego zacnego uznaję, nikogo innego — zawołał Skarzyński.

Oficerowie otoczyli go.

— Jenerale, on wodzem od rządu mianowany, prawy Polak słucha rządu, Umiński będzie walczył do koń a — a zresztą my wszyscy go uznajemy! Dalej jenerale zaraz zawołaj z nami. Niech żyje Umiński, nasz wódz!

Usłuchał jenerał wezwania z obawy; smutna to rzecz, kiedy podwładny komendanta uczy powinności!

Obok stała druga dywizya konna Kaźmirza Skarżyńskiego.

Skarzyński Kaźmirz burzy jazdę przeciw wodzowi.

— Szaleńca chcą wam narzucić za wodza, on tylko dla tego bić się chce, bo uciekł z pru-

skiej fortecy, i ma jeszcze stare z Moskalem rachunki — boi się kajdan! On tylko o sobie pamięta, jeszcze kasę porwie i umknie. Gdy przed front wyjedzie, oświadczcie mu, że nie chcecie go za wodza.

Umiński z garścią oficerów wyjechał przed front konnych strzelców i czwartego pułku ułanów. Wtem oficerowie wysunęli się naprzód.

— Jenerale — nie uznajemy cię wcale za wodza, — oddalić masz się spiesznie, bo inaczej damy ognia!

Umiński poczerwieniał na twarzy, mimo 60 lat krew w nim gorąco kipiała, mała ale dziarska, Łokietka przypominająca postać, uniosła się w strzemionach i chciał oficerów skarcić, ale przerwał mu stary kapral od czwartego pułku ułanów, który się przed front wysunął, dzielny i prawdomowny Maciuszek.

— Half Gota, panie jenerale, te oficery tylko zakazują nam was za wodza uznać, ale my wiara podoficery i szeregowcy wszyscy dobrze wiemy, o co tutaj chodzi. Boże daj Boże — my chcemy przy was panie jenerale stać do śmierci!

— Niech żyje jenerał Umiński — zagrzmiały liczne głosy z szeregów, i od razu kilkaset koni przeszło się połączyć z dywizyą pierwszą.

Ale Umiński ochłonął, i z ostrożności posłał przodem adjutantów do piechoty. Tu daleko więcej byli żołnierze zbałamuceni, prócz czwartego pułku, bo piechota oddalona od kwa-

tery głównej nie była świadkiem podłych i bezwstydnych targów resztą wojska i honoru polskiego.

Adjutant przypadł przed trzeci pułk strzelców pieszych, należący także do dywizyi Milberga — tchórza i druha moskiewskiego.

— Nie zbliżać się na sto kroków, bo ognia dam choćby sam Umiński przyjechał, woła podpułkownik, z obawy by adjutant przemową nie oświecił i poruszył umyślnie przez partyą moskiewską oszukiwanych żołnierzy.

Jenerał Umiński porywczy i gwałtowny, ale nie wytrwały upadł na duchu; nie znał dostatecznie usposobienia wojska, by wiedzieć, że tylko jenerałowie są za poddaniem się a wszyscy żołnierze za walką, więc po jego stronie; porzucił buławę z próżnej i bezzasadnej obawy wywołania bratobójczej walki, bo rozstrzelanie kilku opornych jenerałów zupełnieby wystarczyło, i oddał ją w ręce Rybińskiego.

Sejm widząc, że upadł hetman ostatni, który chciał szczerze do śmierci walczyć, rozszedł się na obczyznę nie zamknięty, w nadziei, że się kiedyś zbierze na polskiej ziemi i znów radzić będzie nad dobrem całego narodu. Do pruskiej granicy sprowadzili posłów ułani, a tam dopiero rozstał się sejm i wojsko.

Opuścił ziemię polską ów sejm, który choć bardzo wiele błędów popełnił, ale zawsze utrzymał godność narodu, wzywał do walki o oswobodzenie wszystkich ziem polskich, zdarł carowi

przywłaszczoną polską koronę z głowy, strofował gaśnych wodzów, choć niestety ukarać ich nie miał siły, byt ludu starał się polepszyć, żołnierza otaczał opieką; ten sejm, który po upadku Warszawy nie stracił nadziei lepszej przyszłości, gdy jenerałowie, jedni otwarcie do obozu moskiewskiego dezertowali, drudzy intrygowali, by naród i wojsko pod carskie rzucić stopy; a ci co wierni Ojczyznie trwali, w małej i nieskupionej byli liczbie. Więc gdy trębacze ułańscy żegnali posłów pieśnią: Jeszcze Polska nie zginęła, łzy kapały z oczu twardych i zahartowanych nieszczęściem wiarusów, jakby w smutnem przeczuciu, że Rybiński nie do boju ich powiedzie lecz na drogę ciernistą a nie sławną.

Raz trzeci szukali Rybińskiego Moskale, w Słupnie już blisko granicy pruskiej gromadzi się raz ostatni rada wojenna, a w niej wiodą rej duchy moskiewskie. Milberg przekłada warunki: zdać się bezwarunkowo na łaskę cara — z którego łaski tyle tysięcy Polaków na Sybir zesłano, wyrwano z łona rodzin, tyle gwałtów na biednym kraju popełniono!

Nieproszeni i niespodziewani wpadają znowu dzielni jenerałowie, których jako niedogodnych starano się usunąć, Pac, Ziemięcki, Bem, Węgierski, pióro i papier kolejno biorą, podpisując się pod odrzucenie warunków. Zamilkła przerażona partya, tylko sześciu ośmieliło się podpisać poddanie.

Wojsko zwołano pod broń, już dwadzieścia pięć tysięcy tylko pozostało, reszta rozbiegła się do domów, nie chcąc być Moskwie zaprzedaną. Rozkaz przejścia Wisły i uderzenia na wroga rozbudził na nowo tyle razy oszukanego żołnierza, ale cofnięcie pułków dla trudności w przeprawie wywołało straszne wzburzenie. Okrzyk „zdrada“ rozległ się znowu. Zdrajcy jedni ruszali bez wszystkiego do Warszawy, drudzy chcieli żołnierzy uwieść jeszcze. Ale omylili się, żaden żołnierz nie popełnił tej podłości, by pod jarzmo miał dobrowolnie wracać; zostawił tę hańbę jenerałom i pułkownikom Konstantynowskim. Całe plutony zakopywały broń i rozpierzchały się do domów.

Pułk czwarty z smutkiem i rezygnacyą szedł ciągle przy armii; w jego szeregach prawie nie było dezercyi — wytrwał do ostatka.

Wreszcie zabłysł fatalny dzień 5 października, granica pruska była tuż. Rybiński, zamiast walczyć, skłonił się przejść do Prus, i rzucił broń; hańba niesłychana w dziejach Polski, bo miał jeszcze dwadzieścia tysięcy ludzi ze stu blizko działami! I defilowały pułki po pułkach przez granicę pruską. Pułk czwarty, liczący jeszcze dwa tysiące głów, szedł z bronią w ręku ponury i milczący przez granicę pod wodzą Borzęckiego. Ledwo kilkudziesięciu było żołnierzy, którzy walczyli w noc listopadową, reszta legła w krawych bojach. Ci biedni żołnierze, co porzucili wszystko, nie myśleli tak skończyć, jeszcze

w ostatniej chwili sądzili, że z chorągwiami przejdą na ziemię francuzką i ztamtąd znową powrócą.

Wtem weszli do wsi Jastrzębków, a na komendę stanęli jak wryci.

— Karabiny złożyć! — zawołał Borzęcki głosem bezdźwięcznym i głuchym.

Jęk straszny wydarł się z piersi czwartaków, mieli rozstać się z bronią, którą walcząc za wolność tyle odnieśli zwycięztw... mieli porzucić kraj rodzinny... niezwyciężeni, ale uchodząc niby zbiegi.

Sierżant Witczak rzucił się na chorągiew, już nie płacz, ale ryk wstrząsał jego potężną postacią. Podoficer Mikołajewski zachował postawę ponurą, ale gdy sam musiał rzucić broń, wybuch okropnym płaczem.

Pruscy żołnierze szanowali tę rozpacz; jenerał pruski chcąc ujrzeć mężnych bohaterów, zwołał ich pod broń.

I stanęli czwartacy raz jeszcze w szeregach, jako stali pod Grochowem, Iganiami, Ostrołęką, Warszawą, patrzeli okiem mokrem i osłupiałem, a potem przestał pułk czwarty i wojsko polskie istnieć — i poszli się tułać...

* * *

Upadło powstanie nie brakiem środków, bo wojska było dużo, trzy razy tyle walczyło na końcu co na początku, bo mimo niedołęztwo i

błędy wodzów odnoszono świetne zwycięztwa — ale ponieważ powstanie, zamiast władzę ująć w swe ręce, zostawiło u szczytu rządu narodu i wojska niektórych ludzi bez wiary w siły narodu, którzy przerażeni powstaniem, tylko o to starali się, aby powstanie przytłumić i wrócić do czasów Konstantynowskich.

Naród po raz pierwszy szerzej poruszony, zatruty jadem stronnictw, niewprawnym był i niedoświadczonym, więc błądził; ale myśl narodowa wsiąkła w masę ludu i tam zaczęła pracować. Prawa narodu nie ulegają przedawnieniu i upadkowi — one są nieśmiertelne.

Dwa lata później szedł w Kalrzynie żołnierz ulicą już spóźnioną porą, a na ulicy było zbiegowisko koło harfiarki grającej na harfie i śpiewającej jakąś pieśń niemiecką. Żołnierz zbliżył się i posłyszał słowa pieśni. Była to znana w owym czasie i ulubiona pieśń o czwartym pułku:

Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę,
Klęcząc przysięgli i świadkiem naszym Bóg —
Z bagnetem w ręku pójdziem w świętą sprawę,
Śmierć naszem hasłem, niechaj zadrży wróg.
Już dobosz zagrzmiał, już sojusz zawarty —
Z panewką próżną idzie w bój pułk czwarty.

Wiadoma światu sławna ta Olszyna,
Gdzie nieprzyjaciel twardym murem stał;
Już dano hasło — rzeź się krwawa wszczyna
I mur zwalony — nie padł ani strzał!
Postrach daleko poniósł tłum rozżarty —
Spokojnie wrócił do Pragi pułk czwarty.

Pod Ostrołęką wróg się hardy zżyma,
Otacza mężnych dział śpiżowych wał,
Śmierć lub zwycięztwo, tu wyboru niema,
Z bagnetem naprzód, niepadł ani strzał.
I już dla mężnych wyłom jest otwarty!
To garść walecznych — to dzielny pułk czwarty.

On to po ciężkiej i krwawej rozprawie
Jak ostry piorun, jako bitwy pan,
Ponuro wracał ku tęsknej Warszawie
I krew obmywał z przyschniętych już ran.
Czerwono płynie w morzu prąd niestarty —
To krew walecznych, przelał ją pułk czwarty.

Ach poraz trzeci już Ojczyzna kona,
O nie pytajcie, kto ten spełnił czyn;
Haniebny potwór z Matki wyszedł łona,
Ojczyzny zgubą jej wyrodny syn!
W kawałki znowu biedny kraj rozdarty —
Zapłakał ciężko nad krajem pułk czwarty.

Żegnajcie bracia, których nam od boku
Śród bitwy wzięła śmierci zimna dłoń.
Wam los szczęśliwszy przypadł już w wyroku,
Nam chytra zdrada z ręki wzięła broń.
Jak biedny tułacz na kiju oparty,
Tak na obczyznę idzie pułk nasz czwarty.

Od polskiej strony chwiejnym idzie krokiem
Dziesięciu mężów pod graniczny słup;
Ciekawem wszędzie patrzą na nich okiem,
A każdy idzie jak bez życia trup.
Wtem: Stój, kto idzie? — krzykną pruskie warty,
To nas dziesięciu — to cały pułk czwarty!

Drgnienie przebiegło żołnierza, oparł się o kamienicę, i łzy zaczęły mu płynąć z oczu. Wtem jakiś cywilny w czamarze granatowej zbliżył się do niego.

— Sierżancie, kolego, aż tu znają sławę i niedolę naszego pułku!

Żołnierz obrócił się:

— Mikołajewski, podoficer! — i padli ze łzami sobie w objęcia dwaj żołnierze czwartego pułku, widząc się raz pierwszy na obczyźnie.

— Pójdź druhu — rzekł Mikołajewski — dziwują się ludzie, pójdź do gospody, ja jadę jutro do Księztwa i tam osiędę, pogadamy sobie! A jakże z tobą?

— Za karę byłem dwa lata we wojsku, choć już raz wysłużyłem, ale mnie wreszcie puścili.

— Cóż teraz?

— Teraz wrócę do domu, będę orał swój zagon, a wieczorem będę nauczał i opowiadał o pułku czwartym, o Polsce, aby ją ludzie poznali i kochali, trzymali się razem i nie wahali się dla niej poświęcać, jak my kiedyś.

— Tak bracie, służmy Ojczyźnie wiernie i do końca, doczekamy się lepszej doli, bo jeszcze Bóg sprawiedliwy na niebie, a nas dużo na ziemi!

KONIEC.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna Biblioteka Główna w Kielcach

Die letzten Zehne vom 4ten Regiment

In Warschau schworen Tausend auf den Knieen
Kein Schuss im heiligen Kampfe sei gethan.
Tambor schlag an! zum Schlachtfeld lasst uns ziehen
Wir greifen nur mit Bayonetten an. —
Und ewig kennt das Vaterland und nennt
Mit stillem Schmerz sein Viertes Regiment. —

#

Und als Wir dort bei Praga blutig rangen,
Hat doch kein Kamerad ein Schuss gethan.
Und als Wir dort den Todfeind zwangen,
Mit Bayonneten ging es drauf und dran.
Fragt Praga, das die treuen Polen kennt —
Wir waren dort — das Vierte Regiment. —

#

Drang auch der Feind mit Tausend Feuerschlunden
Bei Ostrolenka grimmig auf uns an.
Doch wussten Wir tückisch Herz zu finden,
Mit Bayonneten brachen Wir uns Bahn.

Fragt Ostrolenka, das uns bluten nennt—
Wir waren dort, das Vierte Regiment.—

#

Wenn auch viel wackere Männerschaaren brachen
Doch griffen Wir mit Bayonneten an,
Und wenn Wir auch dem Schicksal unterlagen,
Hatte doch Keiner einen Schuss gethan.
Wo blutigroth zum Meer die Weichsel rennt—
Dort blutete das Vierte Regiment.

#

Ach! das heilige Vaterland verloren—
Fragt nicht wer uns dieses Leid gethan.—
Wehe allen die im Polenland geboren
Die Wunden fangen frisch zu bluten an!
Doch fragt Ihr wo die ärgste Wunde brennt?
Ach Polen kennt sein Viertes Regiment!

#

Ade ihr Brüder, die zum Tode getroffen
An unserer Seite wir stürzen sahen.
Wir leben noch — die Wunden stehen offen;
Und um die Heimath ewig ist gethan.

Herr Gott im Himmel! schenk ein gnädig End
Uns letzten Zehnen vom Vierten Regiment.

#

Vom Peleu her, im Nebelgrauen, rückten,
Zehn Grenadiere in das Preussenland.
Mit dumpfem schweigen, grauumwölkten Blicken;
Halt! wer da? schalltes; sie stehen festgebannt –
Und Einer spricht: „Vom Vaterland getrennt –
Wir letzten Zehne vom Vierten Regiment."–

Nr 727390

×KSIĘGARNIA×
ANTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI
Nr 727390

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
105377

Biblioteka WSP Kielce
0146827